

- Tragedia 27 dywizji piechoty — str. 5
- Co warto zobaczyć nad Adriatykiem? — str. 7
- Blaski i cienie festiwalu w Sopocie — str. 10
- Genialna oszustka w habitie zakonnym — str. 13



Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 36 (1484) ROK XXIX

6 WRZEŚNIA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

Miasto i woda

Gwóźdź do trumny made in Łódź

ROMAN KUBIAK

Lato 1986 roku. Długotrwała susza pogłębia deficyt wody pitnej na prawie całym obszarze miast, szczególnie dotkliwie w Wielkopolsce i na Kujawach. W czerwcu mieszkańcy Poznania coraz mocniej odczuwają skutki upalnego lata i degradacji naturalnego środowiska. Znacznie rośnie zapotrzebowanie na wodę, głównie dla catowania usychających w ogródkach i na działkach roślin. Ale miasto, chociaż leży nad dużą rzeką, nie może sprostać tym potrzebom. Zasoby żyłodełnej cieczy są coraz mniejsze. Najwyższe położona dzielnica Poznania — Winogrody zamienia się w obszar pusty. Woda nie dociera tu na piętra domów, trzeba czatować na nią przy piwnicznych kranach. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji jest bezradne, gdyż z próżnym nawi-

ęciem może zużyć w ciągu doby dwieście trzydzieści tysięcy metrów sześciennych wody. Potrzebuje znacznie więcej. Każdego roku ap. tyt Poznania rośnie o dalszych osiem tysięcy metrów sześciennych wody. Na maksymalnych obrotach pracują już ujęcia i wodociągi z Mosiny oraz Dębiny. Latem poziom wody w zbiornikach w Poznaniu i Pożegowie obniża się o blisko dwa metry, co bardzo źle wróży usychającemu miastu.

W tej sytuacji zwyczajna kąpiel w wannie możliwa jest tylko we wczesnych godzinach

rannych i późnych wieczornych, gdy woda jako ciepła cieknie z kranów. Przez cały dzień na wyższych kondygnacjach bloków prawdziwym szczęściem jest udana próba napełnienia wodą czajnika. Przy uciążliwych hydrantach wyciekają gongki potrzebujących. Wycieczki mieszkańców z wiadrami w dłoniach na stałe wpisują się w tutejszy krajobraz. Wiadra w windach, wiadra na schodach, na ulicach, w wodopojach... Zostaje wprowadzony zakaz podlewania ogródków i zmywania ulic w godzinach od szóstej do dwudziestej pierwszej.

Systematycznie obniża się poziom lustra wody w Warcie. Płytką rzeką utrudnia ruch barki transportujących kruszywo i piasek z rejonu Puszczykowa. Na razie barki pływają jeszcze, ale wypełnione tylko do połowy swej nominalnej nośności. Niebawem trzeba będzie liczyć się z koniecznością całkowitego wstrzymania rejsów.

SCIEKIEM DO ODRY

Badania składu warcianej wody przeprowadzane w pierwszych dniach lipca są wyraźnie niepokojące: rośnie stężenie substancji chemicznych groźnych dla biologicznego życia rzeki. Woda paruje intensywnie, nie jest zasilana opadami atmosferycznymi, natomiast ilość ścieków komunal-

nych i przemysłowych zrzucanych bezpośrednio do Warty wcale nie maleje. W efekcie koryto wielkiej rzeki zamienia się w „laboratorium”, gdzie rozmaite ścieki żywiołowo wchodzi z sobą w reakcje chemiczne, kradnąc florze i faunie życiodajny tlen.

Warta przepływa przez dwadzieścia jeden miast, nad jej wodami leży blisko tysiąc kilometrów wsi. Kilka milionów ludzi codziennie czerpie warcianą wodę, kilka milionów ludzi „uzbrojonych” w przemyśl i wsparte chemią rolnictwo codziennie spycha nieczystości do rzeki. Wzdłuż ponad osiemsetkilometrowego brzegu Warty, na palcach rąk można by policzyć sprawnie funkcjonujące oczyszczalnie ścieków. Taką oczyszczalnię ma Częstochowa, dzięki czemu rzeka w górnym biegu jest względnie czysta. Lecz dalej cały trud walki o kryształową wodę idzie na marne, bowiem do Warty beztrosko spływają ścieki Sieradza, Konina, Gniezna, Gorzowa i setek innych „producentów” komunalnych oraz przemysłowych brudów.

W przedziwnej sytuacji znajduje się Poznań, który najpierw czerpie warcianą wodę z ujęcia w Dębiniu, by kilkadziesiąt kilometrów dalej karmić rzekę milionami litrów zabójczych ścieków. Poznańska oczyszczalnia zbudowana na początku wieku odbiera zaledwie pięć procent dziennej porcji miejskich ścieków, oczyszczając je wyciekłom, mechanicz-

czyli wylapując co grubszą ich zawartość. Reszta ścieków swobodnie wpada do rzeki.

Obszar aglomeracji poznańskiej należy do jednego z dwudziestu siedmiu obszarów ekologicznego zagrożenia na terenie kraju. Biologiczna śmierć grozi tu niemal wszystkim rzekom i jeziorom.

Truciele Warty są na razie bezkarni lub płacą kary raczej nie odpowiadające do zaniechania tego procederu. Tylko sieradzki „Polmos” zrzuci do rzeki więcej ścieków niż osiemdziesięciotysięczne miasto, za co płaci ledwie kilkadziesiąt milionów złotych „rekompensaty”, pobieranej hojną ręką z „nabatej” kasy wytwórcy alkoholu. W „Polmosie” wódka wyszływa z „Polmos”.

ŚMIERTELNE CIOSY

Deszcze, które padają w połowie lipca są zbyt skąpe, by rozcieńczyć stężone ścieki płynące korytem Warty, by dać szansę rybom i roślinom wodnym. Przeciwnie, deszczówka spłukuje do rzeki nieczystości z dróg, ulic, rowów i sztucznie nawożonych pól. Płytką Wartą niesie metną, śmierdzącą ciecz. Badania laboratoryjne tej cieczy dają alarmujące rezultaty: w litrze warcianej wody pobranej na wysokości Poznania są zaledwie dwa miligramy tlenu, czyli jest go dwukrotnie mniej, niż potrzeba do tego, aby w rzece przetrwał biologiczne życie!

Nadciągająca katastrofę, widać już gołym okiem. Na powierzchni umierającej rzeki pojawiają się białe brzuchy śniętych ryb. Pierwsi donoszą o tym wędkarze uparcie łowiący z brzegów rzeki, chociaż od wielu już lat ryby ze środkowego i dolnego biegu Warty nie nadają się do spożycia. Niezłoczone w stan pogotowia zostają postawione służby ochrony środowiska i służby sanitarne.

Tymczasem, jakby nie dość było nieszczęść, z Poznania nadchodzi dramatyczne meldunki. Oto na bocznicy kolejowej w bliskim sąsiedztwie Warty stoi uszkodzona cysterna z olejem napędowym. Z dzurawej cysterny wyciekło kilka ton ropy, która spływa do rzeki. Natychmiastowa akcja ratunkowa zapobiega dalszym wyciekom paliwa, ale jest już za późno na to, by odgradzić Wartę od kolejnej porcji trucizny.

Znawcy przedmiotu twierdzą jednakże, iż taka ilość oleju napędowego, jaka dostała się do mocno

Ile zarabiamy i jak nam się żyje?

MARIAN PODLASZEWSKI



Foto: Grzegorz Galasiński

Według danych GUS przeciętne wynagrodzenie miesięczne przypadające na jednego pracownika zatrudnionego w sektorze przemyślnym wyniosło w pierwszym półroczu 1986 roku 22,7 tys. złotych. W kwocie tej — co bardzo ważne — uwzględniono: wypłaty wynagrodzeń osobowych (za czas normalny i nadliczbowy oraz za pracę w polnie soboty), rekompensaty pracownicze, wypłaty z zysku do udziału i z nadwyżki bilansowej w spółdzielniach oraz nagrody z zakładowego funduszu nagród.

Najwyższe średnie zarobki odnotowano w przemyśle wydobywczym (44,2 tys. zł), a najniższe w działalności: ochrona zdrowia i opieka społeczna, oświata i wychowanie, kultura i sztuka. Przeciętna płaca w tym sferze nieprodukcyjnej stanowiła niespełna 85 proc. średniego wynagrodzenia w dziale produkcji materialnej

We wrześniu każdego roku Główny Urząd Statystyczny ustala strukturę zatrudnienia według wysokości miesięcznego wynagrodzenia. W ubiegłym roku pracownicy pełnozatrudnieni byli pod tym względem następująco zróżnicowani:

Wynagrodzenie w zł	Osoby zatrudnione w procentach		
	Ogółem	Robotnicy	Umysłowi
10.000 i mniej	5,3	5,8	4,1
10.001—14.000	17,8	18,3	17,0
14.001—18.000	25,2	23,4	27,8
18.001—22.000	20,3	19,9	22,5
22.001—26.000	12,9	12,6	13,5
26.001—30.000	7,2	7,5	7,0
30.001—34.000	4,1	4,5	3,5
34.001—38.000	2,4	2,7	1,6
38.001—42.000	1,4	1,7	1,0
42.001 i więcej	2,9	3,6	1,8
Razem procent	100,0	100,0	100,0

W tabeli uwzględniono wszystkie osoby pełnozatrudnione w sektorze gospodarczym, które otrzymały wynagrodzenie za cały przepracowany miesiąc wrzesień 1985 roku. Jak widać, wysokie zarobki powyżej 26 tys. zł otrzymywało więcej pracowników na stanowiskach robotniczych (20,9 proc.) niż nierobotniczych (15,1 proc.). W grupie najwyższej zarabiających (ponad 42 tys. zł) było w liczbach — bezwzględnych prawie czterokrotnie więcej robotników (209 tys.) niż pracowników umysłowych (53 tys.).



Ner w okolicach Lutomińska.

Foto: Grzegorz Galasiński

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejowski,

Krzysztof

Drzewiecki, Bohdan

Gadamski, Witold

Kasperkiewicz, J. Stanisław

Knypl, Marek Koprowski,

Włodzimierz

Krzemiński, Alfred

Lutrzykowski, Władysław

Małka, Marek Mamós,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Jerzy Panasewicz, Karol

J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamawianych rekwizytów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla indywidualnych prenumerat: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumerat. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch”; 3. prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę kosztuje zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2631. B-2.

2 ODGŁOSY

Przegląd prasy

Mineją 47 rocznica agresji Niemiec hitlerowskich na Polskę. Z tej okazji na łamach dzienników i tygodników ukazało się wiele interesujących materiałów. W ostatniej „POLITYCE” (nr 35) Piotr Stawiecki omawia „Studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom”. Jest to memorandum opracowane przez podpułkownika Stefana Mossora, zaakceptowane przez generała Tadeusza Kutrzebę, i przedstawione w styczniu 1938 roku marszałkowi Edwardowi Rydzowi-Smigłemu.

Okazuje się, że gen. Kutrzeba i ppłk Mossor w znacznym stopniu

POTRAFILI PRZEWIDZIEĆ

rzeczywisty późniejszy bieg wydarzeń. Zakładali oni, że wojna na wybuchnie w 1939 roku, a jeśli nie w tym, to w 1941 lub 1944. Pierwszą datę uzasadniali podwojeniem w owym momencie stanu niemieckich dywizji piechoty, drugą potrójnieniem tego stanu i możliwością przyjęcia walki na dwa fronty, a trzecią — wygaśnięciem ważności deklaracji polsko-niemieckiej o niestosowaniu przemocy.

Autorzy studium (gen. Kutrzeba był zapewne inspiratorem i współautorem) spodziewali się, że wojna będzie miała charakter totalny i potrwa co najmniej pół roku. Na podstawie dostępnych im danych szacowali, że potencjał wojskowy Niemiec jest trzykrotnie większy od polskiego. Poza tym zwracali uwagę na ogromną przewagę Niemiec pod względem przemysłowym i korzystniejszą kondycją materialną społeczeństwa niemieckiego.

Studium zawierało pesymistyczny wniosek, że z powodu zdecydowanie mniejszego potencjału militarnego, Polska nie jest w stanie samodzielnie walczyć z Niemcami. Potrzebują pomocy ze strony innych państw. Ale na efektywną pomoc nie może zbytnio liczyć. Tylko Francja mogłaby ewentualnie wystąpić czynnie w obronie Polski, lecz dopiero po 6-8 tygodniach. Ponadto nie wykluczano w memorandum możliwości uzyskania niezbędnego sprzętu wojskowego z Czechosłowacji i Związku Radzieckiego. Stanowczo natomiast odrzucono — jako niepożądane — poparcie wojskowe ZSRR dla Polski.

Zycie miało niedługo potwierdzić najważniejszą konkluzję memorandum, że Polska będzie zmuszona sama walczyć z Niemcami, ponieważ wszyscy spodziewani sojusznicy zawiodą. „Gdyby się Niemcom udało — pisali gen. Tadeusz Kutrzeba i ppłk Stefan Mossor — wypchnąć nas poza Wisłę, wówczas można śmiało powiedzieć, że nie byłobyśmy już zdolni do prowadzenia wojny”.

W omawianym studium, złożonym marszałkowi Rydzowi-Smigłemu, znalazła się ostrą krytyką organizacji polskich dowództw kierowniczych i operacyjnych. Według autorów przyszli dowódcy nie dysponowali na wypadek wojny odpowiednimi środkami do szybkiego objęcia kierownictwa. „Zadanie dowództwo broni — stwierdzali — nie jest czynne, w sztabach operacyjnych brak przygotowanych środków łączności, sieci dowodzenia, środków komunikacyjnych, personelu pomocniczego, upatrzonego i jako tako przygotowanych kwater głównych itd.”

General Kutrzeba i podpułkownik Mossor wskazywali również na konieczność gospodarczego przygotowania kraju do przyszłej wojny z Niemcami. W celu szybkiej rozbudowy przemysłu zbrojeniowego postulowali zaciągnięcie wielomiliardowej pożyczki inwestycyjnej w Stanach Zjednoczonych.

Obaj sztabowcy wysunęli też propozycję utworzenia przy Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych specjalnego biura planowania, które zajęłoby się w sposób kompleksowy przygotowaniem do wojny. Nigdy jednak do tego nie doszło, ponieważ marszałek Edward Rydz-Smigły, jak podkreśla Piotr Stawiecki, zajęty był planem wojny... na Wschodzie i zignorował „Studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom”.

Kilka dni po rozpoczęciu agresji na Polskę papieża hitlerowcom udzielił niemieccy biskupi

KOŚCIOŁA RZYMSKO-KATOLICKIEGO.

Bardzo znamienne dla Polaków-katolików fakty przypomina na łamach „ARGUMENTOW” (nr 35) Zbigniew Stachowski. W liście skierowanym do wiernych biskupi m. in. stwierdzali: „W tej decydującej godzinie wzywamy i zachęcamy naszych żołnierzy katolickich, aby w postawie odwagi wobec faszystów, ofiarne i oddaniem całym siebie wykonali swój obowiązek. Wierzący naród wzywamy do gorących modłów o to, by błogosławieństwo boże doprowadziło trwającą wojnę do błogosławionego dla ojczyzny i narodu sukcesu i pokoju.”

Kiedy wojska hitlerowskie wkroczyły do Warszawy, we wszystkich kościołach katolickich Niemiec, zgodnie z zarządzeniem ministra do spraw kościelnych, rozbrzmiewały dzwony przez siedem dni w południe. Tak uczczono zwycięstwo i pamięć poległych.

Poza nielicznymi wyjątkami biskupi niemieccy dawali później dowody poparcia dla każdej agresji hitlerowskiej. A z okazji rocznic urodzinowych Adolfa Hitlera przysyłał mu telegramy z życzeniami.

Niechłubnie także zachowywał się wobec hitlerowców ówczesny papież Pius XII. Nie zdobył się, niestety, na stanowcze potępienie zbrodniczej polityki. Natomiast po napadzie na Związek Radziecki w 1941 roku Watykan z wyraźną życzliwością obserwował sukcesy niemieckie na Wschodzie.

W kwietniu 1942 r. arcybiskup Mediolanu, kardynał L. Schuster, ogłosił treść tzw. „drugiej tajemnicy” fatimskiej. Wynikało z niej, że Matka Boska przyrzekała nawrócenie Rosjan na katolicyzm. W tym samym roku wydano po raz czwarty książkę „Cuda Fatimy”, która do końca 1943 r. miała aż dziesięć wydań. Czytelnicy dowiadywali się z niej, że św. Fatima z ostrzeżeniem przed karą bożą i wezwaniem do skruchy. „Jeśli świat wysłucha mojej prośby — mówiła rzekomo Matka Boska — Rosja nawróci się i nastanie pokój. W przeciwnym razie okrutna i bezbożna propaganda rozszerzy po świecie swe błędne wywołujące wojny i prześladowania Kościoła i wielu dobrych ludzi będzie umęczonych. Ojciec Święty będzie zniósł wiele cierpień; wiele narodów zostanie unicestwionych”. Autorem tej oszobotliwej książki jest portugalski jezuita Luigi Gonzaga da Fonseca.

W przepowiednię fatimską wierzył papież Pius XII i dlatego prawdopodobnie milczał oraz czekał na jej urzeczywistnienie się. Zbigniew Stachowski natomiast oskarża sternika Stolicy Apostolskiej: „Milczał, gdy mordowano Polaków, milczał, gdy ginęli duchowni katolicki, milczał, gdy w Rzymie Japono i wywożono do Oświęcimia Żydów, milczał przez cały niemal czas trwania II wojny światowej, milczał nawet wówczas, gdy hitlerowcy zastrzelili w Rzymie 24 marca 1944 roku 335 rzymsian, w ramach akcji odwetowej za atak partyzantów, w wyniku którego zginęło 33 SS-owców. W tej tzw. sprawie ardeatyńskiej... gdzie Watykan mógł interweniować, jako że znał zamiary hitlerowców, ograniczył się tylko do obwieszczenia partyzantom, że bezsilność faszystowskie rozgrzeszy”.

Papież Pius XII dopiero 2 czerwca 1943 roku odważył się publicznie potępić zbrodnie hitlerowskie. Nie znaczy to je-

dnak, zaznacza autor, że Pius XII był sympatykiem hitlerizmu. Był on, po prostu, zdecydowanym antykomunistą i zajmował postawę germanofilijską. Faszystom i hitlerizmowi traktował instrumentalnie. Miał nadzieję, że komunizm zostanie ostatecznie pokonany.

Pod koniec swego artykułu Zbigniew Stachowski przytacza opinię na temat stosunku Watykanu do reżimu nazistowskiego, księdza prof. Z. Zielińskiego. Polemizując w 1989 r. z twierdzeniami katolików niemieckich, stwierdził on, że Watykan nie walczył z nazizmem, lecz zabiegał tylko o przestrzeżenie przez Trzecią Rzeszę warunków konkordatu i szukał możliwości „współpracy między Kościołem a nowym porządkiem w Niemczech”.

Od problemów związanych z II wojną światową przejdziemy jednak teraz do innej ciekawej kwestii. W tygodniku wrocławskim „SPRAWY I LUDZIE” (nr 34) Monika Warneńska odwołując kulisy głośnej niedawno wyprawy łódzkiego dziennikarza i pisarza

ANDRZEJA BRYCHTA

do Wietnamu. Według relacji autorki, jeden z ówczesnych prominentów doszedł do wniosku, że pobyt wśród dzielnych Wietnamczyków podziła wychowawczo na Brychta i zao-wyduje świetnymi korespondencjami z frontu. Wiele w związku z tym obiecywały sobie redakcje warszawskich dzienników i tygodników.

Andrzej Brycht wyjechał do Wietnamu w składzie delegacji wojskowej jako jej „sekretarz” awansowany do stopnia sierżanta. „Niedługo później — pisze Warneńska — oficerowie, którzy wchodził w skład delegacji, opowiedzieli mi, jak «sierżant» Brycht na «dźwięk syren alarmowych, których głos często rozbrzmiewał wówczas w Hanoi — niby narowisty koń zapierał się w miejsku (czyli w hotelu) i nie chciał jechać poza obręb miasta na teren bardziej zagrożony. Z niemałym trudem i nie bez wstępu członkowie delegacji znacząco wyszli rangą zmusili «sierżanta» do wspólnej podróży na teren niedaleko zresztą od stolicy”.

Po powrocie do kraju Brycht chętnie i dużo opowiadał o swych „wojennych” przygotowaniach. Zaczął też pisać obiecane reportaże w tygodniku „Kultura” oraz zawarł umowę na książkę z wydawnictwem „PAX”. Niestety, zarówno reportaże, jak i teksty przeznaczone do książki okazały się bardzo słabe. W dodatku interweniowała stanowczo ambasada Demokratycznej Republiki Wietnamu, ponieważ Brycht ujawniał w drukowanych fragmentach informacje przekazane poufnie polskiej delegacji wojskowej. Trzeba więc było zaprzestać druku dalszych reportaży i zrezygnować z zamiaru wydania książki.

Następnie Monika Warneńska przypomina, że „sierżant” Brycht po dawnemu zachowywał się w sposób lekkomyślny i nieodpowiedzialny. Aż w końcu stał się bohaterem skandalu literackiego i został oskarżony o zniesławienie. W książce pt. „Sceny miłosne” niesłusznie ukazał w negatywnym świetle pewną kobietę, podając jej autentyczne imię i nazwisko, datę urodzenia i adres zamieszkania.

Jakie były dalsze losy Brychta? Otóż wiosną 1969 r. zgłosił, że „niebawem popłynie polskim statkiem do Afryki, aby pisać kolejną książkę. Opuściwszy Polskę wybrał wolność. Wkrótce potem pojawił się jego wynurzenie w „Kulturze”, ale tym razem parryjskiej. Od tego czasu porostaje poza krajem. Od niedawna publikuje swoje utwory w prasie krajowej”.

Można odnieść wrażenie, że Monika Warneńska nie znała Andrzeja Brychta. Ale stara się ocenić go w sposób obiektywny. Uważa mianowicie, że rację miał jeden z obserwatorów, który powiedział, że był talent, lecz zabrakło charakteru i poczucia odpowiedzialności.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Kto boi się wiedzy?

Jestem najdalszy od tego, żeby bronić programu nauczania w naszym szkolnictwie lub żeby go atakować, sprawy te nie są mi bowiem bliżej znane. Co prawda sam fakt stosunkowo częstych zmian czy to w organizacji systemu szkolnego, czy programu nauczania, czy wreszcie podreżniczków musi wywoływać pewien sceptycyzm co do dalekowzroczności kolejnych ekip re-sortowych, odpowiedzialnych za coraz to nowe koncepcje polskiej szkoły.

Rozumiem, że od czasów, kiedy chodziłem do szkoły nastąpiły rewelacyjne odkrycia i wynalazki, związane z przełomem w rozwoju nauk, zwanym rewolucją naukowo-techniczną. Z pewnością nieporównanie trudniej dziś niż dawniej wykonać pewien program kształcenia ogólnego, jako tako nadążający za postępami współczesnej wiedzy i np. na tak ważną dziedzinę jak fizyka nie można przeznaczyć tyle czasu, ile w dawniejszym szkolnictwie ogólnokształcącym, bo jeśli stale trzeba uwzględnić coś nowego, to oczywiście kosztem czegoś innego, w przeciwnym bowiem razie dzień nauki wydłużyłby się do monstrualnych rozmiarów.

Z drugiej jednak strony, skoro aż tyle się mówi (i słusnie) o wychowawczych zadaniach szkoły, jako równorzędnych z dydaktycznymi, należałoby bardzo skrupulatnie i z wielką rozwagą ograniczać wymiar godzin przedmiotów humanistycznych, które są głównym nośnikiem czy też przekazywaniem treści wychowawczych (jak literatura ojczyzna czy historia), pobudzających do rozumnej refleksji nad jednostką i społeczeństwem.

I właśnie w tych uwarunkowaniach rozpatrywałbym pewną decyzję resortu oświaty, wprowadzającą zupełnie nowy przedmiot nauczania, dostarczający uczniom wiedzy o tak ważnej dziedzinie życia ludzkości, jak mianowicie religia. Gdzie jak gdzie, ale w Polsce której znaczną większość obywateli deklaruje w ankietach swoje religijne zaangażowanie, wiedza o tym, tak masowym zjawisku jest niezbędna przynajmniej każdemu inteligentowi.

Staram się zresztą zrozumieć podnoszące się tu i ówdzie głosy niepokojów, czy wprowadzanie do szkół religioznawstwa nie stanowi zamachu na konstytucyjne swobody religijne, i czy nie będzie prowadzić w wielu wypadkach do urażania uczuć religijnych młodzieży wierzącej. Ale co do owych swobód, określanych jako wolność sumienia i wyznania, trzeba przecież zdać sobie sprawę, że ten nowy przedmiot nie jest niczym innym, jak swego rodzaju rozszerzoną i usystematyzowaną informacją o religiach świata, z uwzględnieniem samego procesu powstawania wierzeń religijnych, tak jak go rozumie nauka.

Dla ogromnej rzeszy młodzieży uczącej się będzie to niezbędnym uzupełnieniem wiadomości, które znaczna część uczniów o-trzymuje w punktach katechetycznych. Nie stwarza to też przeszkód i ograniczeń utrudniających katechetom na prowadzonych przez siebie zajęciach polemiczne ustosunkowanie się do szkolnych wiadomości z zakresu religioznawstwa. Czy nie lepsze to dla intelektualnego rozwoju młodzieży od jednostronnego, jak obecnie, naświetlania problematyki religijnej przez instytucje kościelne i od zakorzeniania się błędnego przeświadczenia, iż chrześcijaństwo, a zwłaszcza katolicyzm, są współcześnie dominującymi nurtami religijnymi, wywierającymi decydujący wpływ na bieg dziejów? Przy takim nastawieniu trudno pojąć młodemu człowiekowi np. znaczenie i wagę konfliktów wstrząsających światem arabskim.

Uważam ponadto, że instytucji państwa, które jest ze swej natury instytucją świecką, przysługuje prawo (a nawet obowiązek) prezentacji w świeckiej szkole naukowego poglądu na świat, co nie jest przecież równoznaczne ze „zmuszaniem” ucznia do wyrzeczenia się światopoglądu religijnego czy też z jakimkolwiek ograniczeniem swobód religijnych. Po prostu młody człowiek zostanie lepiej przygotowany do dokonywania samodzielnego wyboru światopoglądu i nie wiem w imię czego należałoby go tej możliwości pozbawiać.

Czy szkolnictwo przygotowało sobie odpowiednie kadry do prowadzenia zajęć z nowego przedmiotu i czy podręczniki będą reprezentować odpowiednio wysoki poziom? Są to z pewnością rzeczy ważne, ale najważniejsza wydaje mi się potrzeba rozszerzenia horyzontów myślowych ucznia przez dostarczenie mu nowych materiałów i podjęcie do samodzielnego myślenia na tematy tak ważne dla jednostki i społeczeństwa.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

Czytelnik znajdzie między innymi:

— obszerny szkic Zdzisława Siecha o dziejach 28 pułku strzelców kaniowskich, zwanego też „Dzieci Łodzi” w walkach nad Wartą i na Lubelszczyźnie w kampanii 1939 roku,

— reportaż Teresy Jerzykowskiej z chłodni,

— opowieść Witolda Wernera o różnych dziwnych sprawach, które działy się w „Grand Hotelu”,

— opisanie Eugeniusza Iwanickiego tych, którzy mijają się z prawem i co ich później czeka,

— reportaż Jacka Głębskiego z Gdańska, gdzie remontuje się siedzibę pogotowia ratunkowego i jedni ten remont uważają za skandal, a inni nie,

— relację Ludwika Gebela z podróży różnymi środkami lokomocji po Azji,

— reportaż Dariusza Dorożyńskiego z muzeum, w którym... produkują papier toaletowy,

— artykuł Pawła Fijałkowskiego o zapomnianym epizodzie z pierwszej wojny światowej, kiedy Niemcy na Ziemi Łódzkiej użyli gazów trujących.

Ponadto — jak zwykle — listy, recenzje, poezja i proza.

NR 36 (1484), XXIX, 6 WRZESNIA 1986 R.

listopada Sekretariat Komitetu Centralnego wydał Oświadczenie, w którym m. in. odnotowano „nasilenie kampanii wymierzonych przeciwko komitetom i członkom Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej”. Głosi się hasła o wyprowadzeniu partii z zakładów pracy — stwierdził Sekretariat — a w niektórych zaś „dochodzi do szykanowania członków PZPR oraz stosowania różnorodnych form presji psychicznej...”. Sekretariat Komitetu Centralnego potępił te „akty awanturnictwa politycznego” i zapowiedział, że partia z całą stanowczością przeciwstawi się wszystkim siłami wrogim poczynaniom.

— Tak zareagował Komitet Centralny, a rząd? W przemówieniu Sejmowym, tym samym, w którym premier zaproponował utworzenie Rady Porozumienia Narodowego, znalazł się następujący passus: „W związku z istniejącą sytuacją, przekazałem do Prezydium Sejmu rządowy projekt ustawy o nadzwyczajnych środkach działania w interesie ochrony obywateli i państwa”. Czy tego rodzaju krok nie kłóci się z ideą porozumienia narodowego?

— Uważam, że nie. Na wstępie chcę przypomnieć, że o możliwości sięgnięcia po tego rodzaju środki nadzwyczajne mówiono nie tylko w dyskusji na VI Plenum KC, ale również w przyjętej przez jej uczestników uchwałę. Projekt ustawy opracowany w rządzie nie był więc tajemnicą. Ale nie o to chodzi. Krok ten został wymuszony przez gwałtownie pogarszającą się sytuację społeczno-gospodarczą. Trzeba było podjąć środki zaradcze. Jeśli doszłoby do utworzenia Rady Porozumienia Narodowego i jeśli już w procesie jej tworzenia nastąpiłoby zahamowanie wyniszczających kraj procesów, to można by spokojnie zawiesić złożony projekt na bok. Należy jednak pamiętać, że w tym czasie nie było już prawie żadnych gwarancji, iż wspomniane procesy mogą być rzeczywiście zahamowane. I jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Rząd informując społeczeństwo o swoim zamiarze niżył cichą nadzieję, że te siły w „Solidarności”, które parły do konfrontacji, zaczną się zastanawiać nad celowością swoich straceńczych działań.

Dzieje tego projektu, a także kolejnego, który w pewnym momencie się pojawił, zasługują na przypomnienie. Wpiew jednak kilka słów o projekcie ustawy wniesionej do Sejmu PRL przez Prezesa Rady Ministrów w dniu 28 października.

Projekt przewidywał ograniczenie swobody zgromażeń i manifestacji oraz upoważnienie dla rządu do ich zakazu; upoważnienie rządu do nakazywania pracy w godzinach nadliczbowych i w dni wolne od pracy; upoważnienie wojewodów do wprowadzenia godzin policyjnych; zaostreżenie cenzury, przede wszystkim wobec tej części prasy, która nie była nią objęta, oraz częściowe wprowadzenie sądownictwa wojskowego. W razie przyjęcia przez Sejm rządowego projektu, ustawa miała obowiązywać do dnia 31 marca 1982 roku. A więc przez cztery miesiące. Wszystkie zawarte w projekcie ustawy przepisy mieściły się na trzech kartkach maszynopisu. Jeśli ktoś chciałby je porównać z przepisami dekretu Rady Państwa o wprowadzeniu stanu wojennego, to bez trudu doszedłby do wniosku, że to, co proponowaliśmy wówczas, było nadzwyczaj łagodną próbą przywrócenia ładu i porządku w umęczonej Ojczyźnie.

A więc projekt został złożony, ale godzi się przypomnieć, że w wystąpieniu sejmowym premier oświadczył, że w wypadku, gdyby uchwała Sejmu wywołująca do zaniechania akcji strajkowych, a także położenia kresu wszelkim działaniom naruszającym ład społeczny, nie była respektowana, zwróci się w trybie pilnym o nadanie biegu projektowi ustawy. Przypomnę też, że uchwała, o której mówił premier, została przyjęta przez Sejm w dniu 30 października. Uzależnienie nadania biegu projektowi od reakcji na apel Sejmu ze strony zainteresowanych, tj. przede wszystkim „Solidarności”, oznaczało, że projekt ustawy był „martwy”. Spoczywał na biurku marszałka Sejmu. Stan ten trwał do końca listopada. 30 listopada odbyło się posiedzenie Prezydium Sejmu, na którym marszałek zakomunikował, że premier zwrócił się z wnioskiem o nadanie legislacyjnego biegu projektowi ustawy. Po dyskusji, Prezydium Sejmu podjęło decyzję o skierowaniu projektu ustawy do pierwszego czytania do Komisji Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości oraz Komisji Prac Ustawodawczych. Postanowiono, że przekazanie projektu nastąpi w dniu 4 grudnia, po przesłaniu przez rząd skorygowanego tekstu. Po kilku dniach Sejm otrzymał taki tekst, wzbogacony o projekt ustawy „o przeciwdziałaniu nadużywaniu prawa w organizowaniu strajków”.

W uzasadnieniu tego projektu rząd stwierdził m. in.: praktyka ostatnich miesięcy wykazuje, iż prawo do strajku jest nadużywane i wykorzystywane dla celów sprzecznych z interesami pracowniczymi, przy czym strajki organizuje się bez wyczerpania procedury mediacyjnej i z błahych powodów, często niewspółmiernych do szkody dla gospodarczej i społecznej, jakie te strajki przynoszą.

Wiadomość o wystąpieniu rządu z projektem ustawy z miejsca uruchomiła falę protestów. Jeszcze nie znano treści zawartych w projekcie, a już z różnych stron kraju i od różnych nadawców zaczęły nadchodzić do Sejmu telexy adresowane do posłów. Autorzy oświadczeń, apeli i uchwał zakinali posłów, by nie głosowali za przyjęciem ustawy. Nie uważam za potrzebne obszerne relacjonowanie treści tych protestów. Dla zilustrowania linii rozumowania przyjętej przez ich autorów ograniczę się do zreferowania jednego tylko apelu, wystosowanego do posłów przez prezydium krakowskiego oddziału Polskiej Akademii Nauk i rektorów wszystkich uczelni Krakowa. „Uchwalenie szczególnych, nie znajdujących podstaw w Konstytucji PRL uprawnień dla rządu, stwierdzali autorzy apelu, nie zostanie przychylnie przyjęte przez społeczeństwo. Istnieje groźba, że zostaną one zrozumiane jako zamach na swobodę obywatelską. Jak widać, zamachem na swobodę obywatelską nie były liczne, widoczne gołym okiem przełamywania prawa przez zarchizowane elementy „Solidarności”, lecz próba powstrzymania tych złowieszczych praktyki

„Miliony ludzi, czytamy w apelu, utożsamia wprowadzenie ustawy o nadzwyczajnych środkach działania z odejściem rządu od linii odnowy i porozumienia. Tym samym powstanie groźba straszącej konfrontacji”. W tym czasie miliony ludzi pragnęły już spokoju. Ale to jeszcze nie wszystko. „Jest rzeczą jasną, zapewniali autorzy apelu, że naród będzie bronił swych praw obywatelskich, tak jak bronili by niepodległości”. To już zabrzmiało bardzo patetycznie.

Trzęs apelu przyjęliśmy spokojnie, bo byliśmy już przyzwyczajeni do codziennych protestów, z reguły napominających rząd, piętnujących nas za to, za tamto itp. Dziś, po doświadczeniach, przez które przeszliśmy, nie mogłem jednak czytając ów apel przejść obok niego obojętnie, bowiem skłania on do gorzkich refleksji. Zarówno w 1981 roku, jak i w następnych latach z różnych stron dochodziły do mnie opinie, że obraziliśmy się na intelektualistów, ponieważ krytycznie odnieśli się do mojej działalności w rządzie. Usiłowałem wzmocnić o-

Czasy nadziei i rozczarowań

Nie traktowano poważnie naszych ostrzeżeń

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

pinii publicznej, że moja niechęć do intelektualistów, ludzi kultury i sztuki jest wynikiem cech charakterologicznych, a więc, że chcę mieć zawsze rację, że lubię narzucać innym swoje zdanie, a jeśli mi się to nie udaje, to obrażam się itd., itp. No cóż, na pewno nie jestem człowiekiem bez wad, bo takich w ogóle na tym świecie nie ma, ale moja niechęć do wspomnianych środowisk, oczywiście nie całym, nie wynika z tych przyczyn, które usiłowałem mi wmówić.

Proponuję spojrzeć na konflikt, jaki powstał między mną i częścią intelektualistów — pisarzy, naukowców, artystów, publicystów — bez jakiegokolwiek emocji i urazów osobistych. Na wstępie powinniśmy odpowiedzieć sobie na pytanie, jakie są obowiązki intelektualisty wobec społeczeństwa, w którym żyje. W wielkim skrócie można powiedzieć, że intelektualista powołany jest przede wszystkim do tego, by nie tylko wzbogacać życie duchowe narodu, lecz także analizując różnorodne zjawiska zachodzące w świecie idei i materii, podpowiadać mu drogę, po której winien kroczyć, by osiągnąć możliwie najwyższy stopień zadowolenia, wewnętrznej harmonii i poczucia bezpieczeństwa. Czy spoglądając na polską scenę roku 1980/81 może ktoś z ręką na sercu powiedzieć, że tak właśnie wywiązywaliśmy się ze swych zadań polscy intelektualiści, a ściślej ci spośród nich, których mam na myśli? Moim zdaniem nie stanęli oni na wysokości zadania. Choć zapewne uważali się za ludzi mocno związanych z ideą reformowania wszystkiego, co się już przetyło, to prawdę mówiąc, osłabiali głębie, na której idea ta mogła się zakorzenić i owocować z pożytkiem dla narodu i socjalizmu. Osłabiali przede wszystkim dlatego, że zrezygnowali z obiektywnego spojrzenia na rzeczywistość polską roku 1981, lekceważąc odnośność się do istniejących pod każdą szerokością geograficzną, powtarzam pod każdą, uwarunkowań wewnętrznych i zewnętrznych. Chwilami zdawało się, że wcale nie mieliśmy odpału ludzi ze świata nauki, kultury i sztuki odpowiadających trudności do zrozumienia amok. Ze wspomnianej rezygnacji zrodziło się jednostronne widzenie rzeczywistości, co znalazło wyraz w bezkrytycznym stosunku do wszystkich w gruncie rzeczy poczynają „Solidarności”.

— Znowu wkaczasz na swój ulubiony teren. A więc coś z obsesji.

— Nie jest to ani mój ulubiony teren, ani też nie trawi mnie obsesja. Z gorczą mówię o tych sprawach, ponieważ oczekuję od tej części społeczeństwa więcej aniżeli od kogokolwiek innego. W dziesięć dni po wprowadzeniu stanu wojennego, 23 grudnia, w budynku Urzędu Rady Ministrów odbyło się spotkanie premiera z gronem najwybitniejszych polskich uczonych. W spotkaniu wziął udział Hieronim Kubiak, no i oczywiście ja. W dyskusji, jeden z uczestników, wybitny socjolog, powiedział, że intelektualista to taki człowiek, który z obowiązku kontestuje rzeczywistość i że w związku z tym nie należy się dziwić, iż władza musiała w minionych miesiącach wysłuchać sporo przykrych słów. Mogę się zgodzić z taką definicją roli intelektualisty, ale pod warunkiem, że kontestacja nie jest stosowana wybiórczo. Przy stosowaniu takiej metody jedni zasługują na surowe oceny intelektualisty, inni nie. W 1981 roku wielu ludzi nauki, kultury i sztuki dość powszechnie tą metodą się posługiwali. Wybiórcze stosowanie miało ten skutek, że niemało intelektualistów, ludzi sztuki i kultury nie zdobyło się we właściwym czasie na skierowanie apeli do przywódców „Solidarności”, by opamiętali się w sięganiu po pistolet strajkowy, położyli kres bezmyślnym demonstracjom, destrukcji gospodarki, łamaniu prawa itp. Nie trzeba było wtedy wprowadzać stanu wojennego. 6 grudnia Konferencja Episkopatu Polski wystosowała list do wszystkich posłów, w któ-

rym stwierdziła, że „wydanie w chwili obecnej aktu prawnego, zakazującego na drodze przemocy administracyjnej stosowania środków protestu, grozi wzbudzeniem nastrojów społecznych, ogromnym naciskiem z dołu na władze związkowe i żądaniem strajku generalnego”. Hm! Środek protestu! Strajki w tej chwili są ku upadkowi Polsce były w tym czasie już jedynie środkami niszczycielskimi. Członkowie Konferencji potępił także „przemoc administracyjną”. Ciekawe, jak wyobrażali sobie powstrzymanie niemal ślepo działających sił anarchii. Za pomocą słowa? Przecież słownych zakłęk, próśb nie brakowało. „Kościół, stwierdzili uczestnicy Konferencji, mając na uwadze zarówno dobro ludzi pracy jak Państwa, dzieląc od tysiąca lat dobre i złe losy naszej wspólnej Ojczyzny, przestrzega Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przed podjęciem decyzji, która w sposób tragiczny zaważyłaby na losach kraju”. List Episkopatu został napisany już po spotkaniu szefów „Solidarności” w Radomiu. Zarówno wówczas jak i teraz jestem zda-

(16)

wał do wspomnianego projektu ustawy, na drugim torze kierownictwo polityczne kraju oraz rząd działały na rzecz osiągnięcia postępu w kwestii porozumienia narodowego, na trzecim zaś toczyły się robocze spotkania pomiędzy przedstawicielami rządu, „Solidarności” oraz pozostałymi związkami zawodowymi. Którego tor był ważniejszy? Wszystkie były ważne. Gdyby na tym drugim doszło do porozumienia, to utraciłby swoje znaczenie ten pierwszy, a trzeci stałby się mniej ważny. Zatrzymajmy się więc przy tym drugim torze. I grudnia u dzieliłem wywiadu Polskiej Agencji Prasowej, w którym podsumowałem wszystko to, co uczyniliśmy od dnia zgłoszenia przez premiera propozycji powołania Rady Porozumienia Narodowego, by idea stała się ciałem. Przypomniałem, że w ciągu pierwszej dekady listopada Jaruzelski spotkał się z kierownikami stronnictw politycznych, organizacji społecznych i młodzieżowych, wszystkich związków zawodowych oraz z przedstawicielami związków twórczych celem wysłuchania opinii o zgłoszonej przez niego propozycji. Były to rozmowy konsultacyjne, z których wynikało, że idea utworzenia Rady Porozumienia Narodowego spotkała się z pełną aprobatą. Tak więc, na porządku dnia stała sprawa powołania Rady. I sekretarz Komitetu Centralnego i premier uznał, że naruszyłoby ducha i literę demokracji, gdyby osobiście zaproponował skład Rady. W związku z tym powstał pomysł powołania grupy inicjatywnej, która miałaby za zadanie opracowanie całościowej koncepcji RPN. Powołanie Rady, czyli opracowanie platformy programowej i konstrukcji organizacyjnej, nie mogło przecież odbyć się o tak, na chybką. Przecież nie wystarczyło powiedzieć: jesteśmy zwolennikami idei porozumienia narodowego. A więc powołanie grupy inicjatywnej stało się niezbędne. Również z tego powodu, by nikt nie mógł powiedzieć, że PZPR sama opracowała całą koncepcję i narzuca ją pozostałym partnerom. Premier zaproponował, aby weszło do niej siedem osób. Po jednej z PZPR, ZSL i SD oraz z NSZZ „Solidarność” i branżowych związków zawodowych. Szóste miejsce proponowano przedstawicielowi katolików świeckich, siódme komuś, kto miałby prawo do występowania w imieniu środowisk naukowych.

— Do powstania grupy inicjatywnej jednak nie doszło.

— Nie, ponieważ szefowie „Solidarności” po prostu nie przyjęli — jak się miało okazać — koncepcji tworzenia Rady jako materialnego wyrazu realizacji idei porozumienia narodowego. Wystąpił z własną. Wyłożył ją Wałęsa w wypowiedzi dla prasy. Wypowiedź ta ukazała się 24 listopada na łamach „Życia Warszawy”. Wałęsa oświadczył, że koncepcje obu stron co do idei porozumienia narodowego są odmiennie. Rząd, powiedział, pragnie najpierw doprowadzić do utworzenia Frontu Porozumienia Narodowego, a następnie dopiero rozwiązywać problemy, z którymi się borykamy. Natomiast „Solidarność”, powiedział, chce, aby proces rozwiązywania problemów poprzedzał dochodzenie do frontu porozumienia.

Nie wiem do dziś, jacy to stratedzy „Solidarności” wymyśliłi tę „koncepcję”, ale po przeczytaniu tego, co powiedział Wałęsa, można było zapytać: kpi czy o drogę pyta? Przecież wiadomo było, że właśnie zmaturalizowanie idei porozumienia narodowego miało służyć przewidywaniu konfliktów i rozwiązywaniu wielu trudnych problemów, przed którymi stanął nasz kraj.

W tym czasie każdy zdrowo myślący człowiek wiedział też, że wiele problemów społecznych, gospodarczych i politycznych nie będzie można rozwiązać, nawet przy najlepszej woli wszystkich zainteresowanych, w ciągu miesiąca, dwóch lub trzech. Przecież do dziś pewne problemy, zwłaszcza gospodarcze, które istniały już wówczas, nie zostały jeszcze rozwiązane. Cóż więc w praktyce mogło oznaczać odwołanie przez „Solidarność” kolejności dochodzenia do Frontu Porozumienia Narodowego? Ano nic innego, jak odłożenie całej sprawy ad acta. Tego, co powiedział Wałęsa, nie można było potraktować inaczej, niż jako ucieczkę przed wzięciem na siebie współodpowiedzialności za kraj w chwili, gdy znalazł się on w niezwyklej trudnej sytuacji.

W odpowiedzi, na którą się powołuję, Wałęsa odrzucił także koncepcję składu grupy inicjatywnej. Powiedział, że gdyby „Solidarność” przyjęła ją na proponowanych przez rząd warunkach, to byłaby tam zaledwie jedną z siedmiu sił społeczno-politycznych, co według niego nie odpowiadałoby rzeczywistej pozycji Związku. Dodał także, iż trzy wielkie siły: rząd, Kościół i „Solidarność” winny zajmować miejsce szczególne w takim froncie, powinny mieć status specjalny, np. prawo weta. Reszcie partnerów, jak należy się domyślać, Wałęsa wyznaczał rolę kibiców lub też posłusznych klientów. Co się zaś tyczy tej „jednej siódmej”, to interpretacja, jaką przedstawił Wałęsa, była zwyczajnym nieporozumieniem. Proponowany siedmiosobowy skład grupy inicjatywnej poddyktowany został praktycznymi względami, a nie założeniem, że w Polsce istnieje akurat siedem sił społecznych i że autor powołania grupy roboczej wyznaczył „Solidarności” miejsce, które Wałęsa określił jako „jedną siódma siłę”. Z tego, co powiedział Wałęsa, wynikało, że na drodze do zrealizowania idei porozumienia narodowego wyrosła kolejna przeszkoda. Sprawa składu grupy inicjatywnej, ciała przeciw tymczasowego o ściśle określonych zadaniach, zapowiadała otwarcie długiej i w gruncie rzeczy bezpodstępnej dyskusji. Z góry wiadomo było, w jakim kierunku będzie się ona toczyła. My będziemy udawać, że formuła rząd — Kościół — „Solidarność” — faktycznie nie chodziło o rząd, lecz o PZPR — jest nie do przyjęcia dla pozostałych ugrupowań politycznych i społecznych, a Wałęsa i jego koleżdy będą dowodzić, że to właśnie oni mają rację. Wałęsa ponownie odwołał się do monopolistycznej pozycji „Solidarności” w życiu kraju i niezasadzonego prawa do narzucania innym swego zdania. Przekonanie o istnieniu takiej właśnie pozycji „Solidarności” skłaniało przywódcę Związku do lekceważenia wszystkich innych sił politycznych.

C.D.N.

Popularna przed wojną, a i zaraz po wojnie, piosenka zapewniała: „Morze, nasze morze będziecie w siebie wiernie strzec”. Nie było to zapewnienie bez pokrycia, chociaż zadanie było trudne i niemal niewykonalne. Wprawdzie ówczesne Wybrzeże i dzisiejsze Wybrzeże, to pojęcia nieporównywalne pod względem długości brzegu morskiego stanowiącego — w uproszczeniu, bez brania pod uwagę wód terytorialnych — północną granicę państwa polskiego. Ale trzeba pamiętać, że wówczas Gdańsk był Wolnym Miastem, a z Polski centralnej ku Wybrzeżu prowadziły wąski doś „korytarz” pomiędzy Rzeszą a Prusami Wschodnimi.

Był to pas terytorium zawarty między Lęborkiem na zachodzie po stronie Rzeszy a Sopotem w Wolnym Mieście Gdańsku, Bytewem na zachodzie a Malborkiem w Trusach Wschodnich, Piłą położoną na wysokości Bydgoszczy po stronie Rzeszy a Kwidzynie na Wiśle w Prusach Wschodnich, położonym wyżej na północ niż linia Piła — Bydgoszcz. Ów „korytarz” przypominał niego głowę ptaka z dziobem w kształcie półwyspu Hel. Pojęcie „korytarz” ukuli Niemcy, domagając się jego zwrotu wraz z Gdańskiem. Był to — według nich — „korytarz” dający Polsce dostęp do morza poprzez terytorium niemieckie, rozdzielające Rzeszę od Prus Wschodnich.

Wbrew wszelkim faktom historycznym, wbrew dążeniom polskiej ludności tych rejonów, Adolf Hitler w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1939 roku, a więc już po podjęciu decyzji o rozpoczęciu wojny przeciw Polsce, wysuwając żądania określone „korytarzem” jako obejmujące terytorium od Bałtyku po linię Kwidzyn — Grudziądz — Chełmno — Bydgoszcz, włączając do tego obszaru również miasto Bydgoszcz.

Adolf Hitler przewidywał — upojony bezsilnością mocarstw Europy — że na terenie tak pojętego „korytarza” odbędzie się plebiscyt, w którym ludność tam zamieszkująca wyopowie się o tym, do jakiego państwa chce należeć: do Polski czy do Niemiec. Z obszaru plebiscytowego wyłączony był bezapelacyjnie obszar Gdyni. Jako terytorium wyłącznie polskie.

Takie żądanie wysunięte na kilka godzin przed z góry ustalonym atakiem na Polskę, miało wyłącznie znaczenie propagandowe, ale jednocześnie pokazywało nam dziś, jak wówczas Adolf Hitler i Niemcy ulęgający jego ideom wyobrażali sobie obszar „korytarza”. Dla Polski takie żądania były nie tylko nie do przyjęcia, ale jednocześnie naruszały prestiż państwa niepodległego oraz były wręcz obraźliwe.

Granice między Polską a Niemcami, jakie ukształtowały się po pierwszej wojnie światowej stanowiły — z jednej strony — powód do konfliktu, który przy bierności mocarstw europejskich musiał doprowadzić do wojny, a — z drugiej strony — powodowały

NIESKUTECZNOŚĆ OBRONY POLSKIEGO WYBRZEŻA

Już w 1936 roku stało się jasne, że zarzawiem przyszłego konfliktu może być Gdańsk. Próbowano wtedy przyłączyć Gdańsk do Niemiec, co równało się przekreśleniu wszelkich polskich uprawnień do Wolnego Miasta Gdańska. Polska nie mogła się na to zgodzić. W tej sytuacji powstała idea stworzenia Korpusu Interwencyjnego.

„Uderzenie na Gdańsk” — pisze w „Pamiętnikach” Jerzy Kirchmayer — miało być z naszej strony wykonane przez specjalną grupę operacyjną w składzie dwóch dywizji piechoty dowiedzianych transportami kolejowymi z głębi kraju oraz Pomorskiej Brygady Kawalerii.

Grupa operacyjna przeznaczona do interwencji w Gdańsku — nazwana później Korpusem Interwencyjnym — miała się według koncepcji z 1936 roku składać z 17 dywizji piechoty z Główną i 26 dywizji piechoty ze Skierwięc. Siły Gdańska obliczono wówczas na jedną dywizję piechoty.

Jerzy Kirchmayer miał pewne wątpliwości co do realności tego planu.

„Całe ryzyko działania — pisał w „Pamiętnikach” — polegało na możliwości wnieścia się Rzeszy do konfliktu między Polską a Gdańskiem. Wyglądało się wówczas, że Niemcy hitlerowskie nie pogodzą się z uduśnieniem Gdańska przez Polskę. (...) Nawet dla zupełnego laika było bowiem jasne, że uderzenie niemieckie na każdym kierunku prowadzącym z niemieckiego Pomorza zachodniego na nasze Pomorze odcina, a co najmniej trafia w tyły grupy operacyjnej zajętej uderzeniem na Gdańsk!”

Wszakże konieczność zajęcia się tym problemem zmusiła do zastanowienia się nad strategicznym położeniem tego rejonu kraju. Wówczas to późniejszy dowódca Armii „Pomorze” gen. Władysław Bortnowski sformułował założenia strategiczne dotyczące terytorium „korytarza”. Według tych założeń, jak pisze w „Pamiętnikach” Jerzy Kirchmayer:

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„Nasza flota choć nieduża..”

— po pierwsze: wojna z Niemcami była nieunikniona i należało się jej spodziewać w niedługim czasie,

— po drugie: Polska nie miała żadnych możliwości operacyjnych w „korytarzu” i nie należało tam wprowadzać większych sił,

— po trzecie: rejon nadmorski zostanie natychmiast odcięty i muszą się przygotować do samodzielnej obrony,

— po czwarte, należy spodziewać się silnego ataku z Prus Wschodnich i przygotować się do obrony przed nim, to znaczy do obrony obszaru między południową granicą Prus Wschodnich a Wisłą i Narwią

Sytuacja polityczna po 1936 roku uległa zmianie, ale plan interwencji zbrojnej w Gdańsku, na wypadek ogłoszenia decyzji o jego przyłączeniu do Rzeszy, pozostał w archiwach Sztabu Głównego i — jak się później okazało — był nadal aktualny, choć zdawano sobie sprawę z jego nierealności. Powrócono do niego w marcu 1939 roku, gdy narastał konflikt między Niemcami i Polską. Wówczas to narodziła się idea „małej interwencji”.

„Marszałek Smigły — pisze Jerzy Kirchmayer — w „Pamiętnikach” — obawiał się puczu w samym Gdańsku, jako najbardziej prawdopodobnej akcji Hitlera po odrzuceniu jego roszczeń w korytarzu i roszczeń dotyczących powrotu Gdańska do Rzeszy. (...) Smigły obmyślił koncepcję („nie oddamy ani guzika”) i przygotowanie jej oraz przeprowadzenie powierzył gen. Bortnowskiemu, który występował już wtedy jako dowódca armii „Pomorze”.

Akcję tę miał przeprowadzić 2 pułk szwoleżerów rokitańskich stacjonujący w Starogardzie wzmocniony kompanią piechoty z ciężką bronią. Polscy żołnierze mieli zająć miejscowości Pszczółki — 10 km od Tczewa, ale nie wolno było im przekroczyć rzeki Kłodawy. Ta akcja wojskowa miała być partią zdecydowaną akcją dyplomatyczną. Polska miała uodowodnić, że jej nie jest objętym los Gdańska i będzie siłą bronić swoich praw do tego miasta. W planie były też decyzje o przerwaniu wszelkich połączeń tranzytowych przez Polskę i Wolne Miasto Gdańsk. Ale już w czerwcu narodziły się wątpliwości, czy taka akcja wystarczy, czy będzie dostatecznie skuteczna. I właśnie wtedy zaczęła się rodzic

KONCEPCJA KORPUSU INTERWENCYJNEGO

Ale decyzje w tej sprawie zapadły dopiero w sierpniu 1939 roku. Były to decyzje fatalne. „Owa nieszczęśliwa decyzja — pisze w „Pamiętnikach” Jerzy Kirchmayer — jedna z najfatalniejszych i najbardziej błędnych w naszych przygotowaniach do wojny (choćby na pewno nie wpłynęła zasadniczo na wynik kampanii), zapadła, o

ile mnie pamięć nie myli, w pierwszej dekadzie sierpnia”.

Jak utrzymuje gen. Wacław Stachiewicz — wówczas szef Sztabu Głównego — Naczelnik Wódz, marszałek Edward Śmigły-Rydz doskonale zdawał sobie sprawę z fatalności tej decyzji. Miał on się wyrazić — i słusznie zresztą — że „jest to absurd operacyjny, do którego jest zmuszony względami politycznymi”. Polska nie mogła bowiem wyrazić obojętności wobec Gdańska czy „korytarza”, o które toczył się spór, i które mogły się stać powodem wojny.

Gen. Władysław Bortnowski był przekonany o fatalności tej decyzji i marszałkowi Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi nie omieszkał przedstawić trudności związanych z wprowadzeniem większych sił do „korytarza”. Na to Naczelnik Wódz miał mu odpowiedzieć:

— Wiem o tym i innemu generałowi może nie przydziełbym takiego zadania, ale znając pana silne nerwy, daję je.

Dowódcą Korpusu Interwencyjnego został mianowany gen. Stanisław Skwarczyński, szefem sztabu — ppłk. dypl. Bronisław Szeligowski. W skład Korpusu Interwencyjnego wchodziły:

— 13 dywizja piechoty, dowodzona przez ppłk. dypl. Władysława Kalńskiego, wzmocniona przez baterie artylerii zmotoryzowanej dysponującej armatkami kalibru 40 mm, wraz z dwoma szwadronami 2 pułku szwoleżerów ze Starogardu,

— 27 dywizja piechoty, w skład której wchodziły: 23 pułk piechoty, 24 pułk piechoty, 59 pułk piechoty, które miały swoje garnizony w Kowlu, Łucku, Włodzimierzu Wołyńskim, Sarnach i Chełmie Lubelskim, a którą dowodził gen. Juliusz Drapella, dywizję tę wzmocnił IV batalion 50 pułku piechoty oraz pułk artylerii lekkiej.

— dywizjon artylerii ciężkiej, baon czołgów lekkich, baon saperów, kompania pogotów, kompania artylerii przeciwlotniczej uzbrojona w karabiny maszynowe typu „A”,

— samodzielne plutony: radiowy, budowlany, łączności z Kwaterą Główną, zandarmierii, a ponadto: sąd polowy i kolumna samochodów osobowych oraz kompania asystencka.

W sumie Korpus Interwencyjny składał się z 19 baonów, 2 szwadronów, dysponował 112 działami, 8 działami przeciwlotniczymi i 50 lekkimi czołgami.

Korpus Interwencyjny rozlokowano w rejonie Bydgoszczy i Fordonu. Trzymano w pogotowiu pociągi przeznaczone na przerzucenie wojsk pod Gdańsk. Część ciężkiego sprzętu pozostawiała nie rozładowana w wagonach. 27 dywizja piechoty zajęła pozycje wyjściowe w rejonie Skarszewy — Starogard i miała przez Radunię atakować na Wrzeszcz. 13 dywizja piechoty zajęła pozycje pod Tczewem i miała atakować na Emaus.

„O ile Gdańsk — stwierdził gen. Wacław Stachiewicz — był dla nas termometrem nastrojów i dążeń Rzeszy, o tyle nasze stanowisko w sprawie Gdańska i Pomorza było dla Zachodu i całej Europy problemem naszego trwania i decyzji przeciwstawienia się agresji niemieckiej”.

Ale też powołanie Korpusu Interwencyjnego i wprowadzenie go w obszar działania Armii „Pomorze” zmusiło ją do zmiany planów operacyjnych. Ich zasadą było niewprowadzanie większych sił w rejon „korytarza” zbyt daleko na północ. Natomiast akcja Korpusu Interwencyjnego wymagała osłony. Trzeba było zatem pociągnąć siły Armii „Pomorze” bardziej na północ, co przeczyło wcześniejszym założeniom operacyjnym i wywoływało zamieszanie. Atak niemiecki z zachodu, czyli z Rzeszy i ze wschodu, czyli z Prus Wschodnich na linię Kwidzyn, Chojnice, Piła, powodował od-

cięcie i unicestwienie wojsk znajdujących się na północ od tej linii.

Idea Korpusu Interwencyjnego wiązała się tylko i wyłącznie z akcją podjętą przez Niemców w samym Gdańsku. Miała to być polska odpowiedź na tę akcję. Dlatego założono, że Polska w Gdańsku będzie bronić się 6 godzin, a polska obsada Westerplatte — 12 godzin. W tym czasie interwencja wojska polskiego spowoduje zmianę sytuacji i wszystkie powróci do stanu poprzedniego.

A jeśli jakakolwiek akcja w Gdańsku będzie tylko i wyłącznie prowokacją wojenną?

Na tę okoliczność przewidziano dwa warianty.

Pierwszy — obie dywizje wycofują się w kierunku na Swiecie.

Drugi — obie dywizje wchodzi do walki z atakującymi wojskami niemieckimi w rejonie Tucholi.

Ale jak to zwykle bywa życie przygotowało wariant trze-

ci — nieprzewidywany. Rozwój wydarzeń politycznych spowodował, że jasnym się stało, iż Korpus Interwencyjny jest zupełnie nieprzydatny, wobec tego należało go rozwiązać. Formalnie stało się to 31 sierpnia 1939 roku, ale faktycznie przestał on istnieć 1 września 1939 roku.

ROZWIĄZANIE KORPUSU INTERWENCYJNEGO

nastąpiło depeszą skierowaną do gen. Władysława Bortnowskiego — jak wszystko wskazuje 31 sierpnia o godz. 8.50 — zawiadamiającego go, iż:

„Kwatera Główna Korpusu Interwencyjnego, elementy pozadwuznaczne korpusu i 13 DP otrzymują rozkaz załadowania i odjazdu do dyspozycji W.W. 27 DP oddano do dyspozycji dowódcy armii. Gen. Skwarczyński ze ściśniętym sztabem zamelduje się jak najszybciej w Naczelny Dowództwo”.

Zaraz po tym rozkazie gen. Władysław Bortnowski przekazał do sztabu 27 dywizji piechoty następujący rozkaz:

„Natchmiast przejść marszem Bory Tucholskie do Fordonu, tu przekroczyć Wisłę i osiągnąć rejon Chełmno — Chelmza”.

Są wprawdzie między historykami spory, kiedy te telegramy dotarły do sztabu Armii „Pomorze” i sztabu 27 dywizji piechoty, ale w tym wypadku nie ma to większego znaczenia, gdyż już 1 września 1939 roku około godziny 10.30, gen. Władysław Bortnowski zrezygnował z tej koncepcji i zmienił kierunek marszu 27 dywizji piechoty, która już ruszyła do wcześniej wskazanych celów. Około 12.30 gen. Juliusz Drapella otrzymał następujący rozkaz:

„Pan generał obejmie dowództwo nad grupą w składzie 27 i 9 DP. Zadanie grupy: npla, który posiada się przez Sępólno, pobić i odrzucić z powrotem za granicę. W tym celu należy jeszcze dzisiaj wieczorem zebrać 27 DP w rejonie Bystawa — Bystawaek. Mp. dowódcy grupy dzisiaj Bystawa”.

Rozkaz jest rozkazem. Ale pułki 27 dywizji piechoty maszerowały już na południe. Szyły one trzema szlakami. Zmiana kierunku i celu wymagała zmian trasy, oś tych tras przesuwała się bardziej w kierunku zachodnim. Zmiana kierunku marszu przebiegała dość sprawnie, ale wszystkie wskazywało, że rejon Bystawa we wskazanym i wymaganym czasie może osiągnąć tylko 50 pułk piechoty, którego trasa uprzednio wyznaczona przebiegała najbliższą trasą teraz pożądaną. Gen. Juliusz Drapella udał się do Tucholi, gdzie mieściło się dowództwo 9 dywizji piechoty. Jej dowódcą był ppłk. Józef Werobej. Po zapoznaniu się z sytuacją — która zresztą zmieniała się niebawem szyb-

ko, Niemcy byli już na wschodnim brzegu Brdy — postanowiono zaatakować niemiecki przyczółek i wyprzeć Niemców ze wschodniego brzegu Brdy i odeprzeć ich możliwie jak najdalej na zachód. Gen. Juliusz Drapella powrócił do Bytawy, gdzie miał wyznaczone miejsce postoju, a sztab 9 dywizji piechoty przeniósł się z Tucholi do Bytawy. W Bytawiu gen. Juliusz Drapella otrzymał kolejną depezę:

„ND nie zgadza się na użycie 27 DP na tym odcinku. W ciągu nocy zostaną podstawiowane na odcinku linii kolejowej Wierzychucin — Luiano — Laskowice cztery składki pociągów dla załadowania i przewiezienia części 27 DP do rejonu przeznaczenia. Dla reszty dywizji, która ma maszerować po drogach wzdłuż linii kolejowej, będą podstawiowane według możliwości dalsze składki dla jej podjęcia. Mp. dowódcy dywizji na noc 1/2 IX nakazano dwóm Świeżakow”.

I to wszystko w ciągu jednej doby.

Niemcy w swoich planach wojennych założyli całkowite zniszczenie polskiej floty wojennej. Nie była to duża flota, ale mogła dość skutecznie przeszkodzić w komunikacji morskiej między Rzeszą a Prusami Wschodnimi. Półki walki toczyły się pod Gdańskiem, w „korytarzu”, a nawet w rejonie Bydgoszczy, komunikacja lądowa była niemożliwa. Trzeba też pamiętać, że Niemcom nie udało się opanować mostów pod Tczewem, gdyż zniszczyli je polscy saperzy, a zatem komunikacja morska z Prusami miała poważne znaczenie.

Miała ona też znaczenie dla celów obronnych Polski. Ataki wojsk niemieckich z Prus Wschodnich zagrażały bezpośrednio Warszawie, jak też i rejonom położonym na wschodnim brzegu Wisły. Dlatego też zadaniem floty polskiej było przeszkadzanie tej komunikacji.

Z drugiej jednak strony siła naszej floty i jej położenie na Bałtyku, gdzie jedyną bazą mógł być port wojenny na Helu, zmusiła Kierownictwo Marynarki Wojennej do tego, aby została przeprowadzana

OPERACJA „PEKIN”

W skład dywizjonu kontrtorpedowców Polskiej Marynarki Wojennej wchodziły ORP: „Byskawica”, „Burza”, „Grom” i „Wicher”. 30 sierpnia 1939 roku trzy pierwsze z wymienionych kontrtorpedowców otrzymały rozkaz wykonania operacji „Pekin”.

„Popołudnie było słoneczne — wspominał później dowódca trawolca „Jaskółka” kot. Tadeusz Borysiewicz — bardzo pogodnie i oświetlenie świetne, północno-wschodnią bryzą z pomostu „Jaskółki” która znajdowała się wówczas na południe drogi z Helu do Gdyni, zauważyliśmy szare sylwetki naszych niszczycieli, uwięzionych północnym gęstym dymem i odrywające się od ciemnych tarysów okrywających wybrzeże. Główny ich mijali, okręty były już znaczną szybkością i w 10.15 było, że wszystkie kotły są w porządku. (...) Sierpniowe słońce wydobywało jaskrawozielone czapki zgrupowanych na pomostach oficerów. Jakkolwiek nie widzieliśmy, dokąd niszczyciele idą, nie uległo wątpliwości, że rozwijają one pełną moc, co w czasie pokojowym nie zdarzało się zbyt często. Uderzał brak „Wichra”...”

Załogi kontrtorpedowców dopiero w rejonie środkowego Bałtyku dowiedziały się, że celem rejsu jest... Anglia. W Gdyni pozostał „Wicher”, aby bronić wraz z dywizjonem łodzi podwodnych i minowców polskiego morza. W skład dywizjonu łodzi podwodnych wchodziło pięć ORP: „Orzeł”, „Błysk”, „Sęp”, „Wilg”, „Zbik”. Dywizjon minowców składał się z ORP: „Gryf”, „Komendant Piłsudski”, „Generał Haller”, „Jaskółka”, „Czapka”, „Mewa”, „Rybitwa”, „Żuraw”, „Czapla”, „Mazur”, „Pomorzanin”, „Smok”. Morski dywizjon lotnictwa po bombardowaniu Pucka 1 września 1939 roku ocalał w zasadzie. Wodnosamoloty rozlokowały się wzdłuż Helu i 3 września zostały skutecznie rozbite. Nie stanowiły zresztą nigdy groźnej siły dla nowoczesnych dywizjonów Luftwaffe. A na dodatek na całym wybrzeżu było 14 armat przeciwlotniczych 75 mm i 12 „Vickersów” 40 mm. Poza tym artylerzyści nigdy nie strzelali do nurkujących bombowców. A jednak potrafili jakoś zmusić niemieckich lotników do pewnego respektu.

W końcu młodzi i starzy, dziewczęta, chłopcy i prawni ludzie śpiewali: „Morze, nasze morze będziecie ciebie wernie strzec”. I obietnicę dotrzymali.

OBRONCY WYBRZEŻA WYCOFAJĄ SIĘ NA POŁUDNIE

i w tym celu 207 dywizja piechoty i 32 pułk Grenzwache uderzyli na Kościerzynę, aby uniemożliwić taką operację. Stormowano korpus, którym dowodził gen. Leonhard Kaupisch, a który już 3 września 1939 roku zorientował się, że Polacy nie mają zamiaru porzucić Wybrzeża i będą go bronili do ostatka swoich sił. Rozpoczął więc z rejonu Kościerzyny natarcie na północ. Pierwsze uderzenia 207 dywizji piechoty przyjął batalion Obrony Narodowej „Kartuzy” poniosł ogromne straty, powstarczył jednak atak niemieckiej piechoty i 5 września wycofał się na północ. Teraz już było jasne, że obroncy Westerplatte pozostawieni zostali sami sobie. Mogli jeszcze liczyć na pomoc... sojuszników: Francji i Anglii. Ale było to kolejne złudzenie.

Gwóźdź do trumny made in Łódź

ze str. 1

zanieczyszczonej już rzeki, nie powinna w znaczący sposób zawazyć na biologicznym jutrze Warty. Jest to zaledwie kropla w otchłani stokroć groźniejszych ścieków, które niosą wyrok na rzekę. Któregoś pięknego dnia Warta udławi się nimi i utraci prawo do tego, by nazywać ją rzeką — jak wiele niegdysiejszych rzek polskich, zamienionych w regularne rynsztoki.

A człowiek, który zgotował Warcie tak okrutny los, na razie bezradnie obserwuje dramat, życząc rzece powrodozenia w samotnej walce o życie.

Leżąc z życia nie spełniają się. Lipcowy poranek odstania zbrodnicze żniwo: na długim, wielokilometrowym odcinku Warty między Poznaniem a Wronkami płyną lawice martwych ryb. Setki, tysiące ciał. Brzegami wolno, jak w żalobnym kondukcje idą przerażeni ludzie: wędkarze, rolnicy, Milcz. Niektórzy płaczą. Rzeka wyrzuca na piach rybie zwłoki. Trzeba je pospiesznie grzebać, bo słoneczne promienie rozkładają je szybko. Odór rzeki miesza się z odorem gnijących ciał. Śnięte ryby rzuca się na skrzynie ciężarówek i wywozi na podmiejskie śmietniska. Tam wpadają w głębokie doły przykrywane wapnem i czarną ziemią. Nie będzie po nich śladu. Śladu życia nie ma i długo nie będzie na Warcie pod Poznaniem.

Nawet pobieżna analiza składu cieczy w strefie zabójczego skażenia daje jednoznacznie brzytą werdykt: śmierć przysia w nurcie Neru. „Gwóźdźem do trumny” Warty jest Ner! On to systematycznie od lat, a szczególnie teraz, podczas upałów i suszy, uraczył Wartę wyjątkowo paskudnym ładunkiem toksycznych ścieków, które nie dają żadnych szans wodnej przyrodzie.

KANAŁ

Ner ma zaledwie sto dwadzieścia sześć kilometrów długości. Od źródeł jest praktycznie rzeką martwą. Na całej swej długości niesie wody nie mieszczące się w żadnej klasyfikacji czystości, czyli wyłącznie ścieki. Brzegi Neru są naszpikowane przeróżnej średnicy rurami, z których tryskają strumienie gęstych, śmierdzących wydalnin naszego przemysłu. Fabryki traktują Ner jak normalny ściekowy kanał.

Kanał zwany Nerem toczy swym korytem mętną breję, w której jest tylko jeden procent wody i dziewięćdziesiąt dziewięć procent ścieków!

Na wysokości Łodzi Ner dostaje największą porcję chemicznych i komunalnych odchodów, które potrafią zabić każdą formę biologicznego życia. Kanał przybiera niezwykle barwy, co zawdzięcza fabrykom beztropko zrzucającym doń rozmaite barwniki syntetyczne. Ner nie zamarza nawet podczas śnieżnych mrozów, bo nie ma w nim wody. Nad kanałem unosi się mgiełka oparów fenolu, azotu, chloru z łódzkich fabryk.

Uprzemysłowione województwo łódzkie nie ma ani jednej oczyszczalni ścieków.

Cały ten trujący ładunek „made in Łódź”, Ner wrzuca do Warty. Na trzysta sześćdziesiąt kilometrów swego biegu Warta dostaje śmiertelny zastrzyk.

Przy ujściu Neru, między Dąbim a Walewicami, w dolinie rzecznej były kiedyś wspaniałe torfowiska poprzecinane bystrzami strugami i strumieniami czystej jak iza wody. Nosiły nazwę Łączyńskie Błota. Były rajem dla mew, rybitw i sów. Dziś na torfowiskach potworny fetor odstrasza każdy żywe stworzenie.

Kiedyś na Łączyńskich Błotach zamierzano utworzyć rezerwat przyrody...

CHWILA WSPOMNIENI

Dawno, dawno temu, kiedy rozum panował jeszcze nad ludzką zachłannością, Warta karmiła człowieka, gasiła jego pragnienie i służyła mu jako podróży szlak. W przejrzystej wodzie ujwily się pstrągi, sandacze, minogi, brzozy, sumy i szcypaki. Rzeka była niezwykle rybna, w górę ciągnęły lawice certy, lososi oraz wspaniałych jesiotrów zachodnich, nierzadko ważących ponad sto pięćdziesiąt kilogramów. W czerwcu ryby odbywały tarło na odcinku podpoznańskim, w co aż trudno dziś uwierzyć patrząc z mostu na martwą rzekę.

W dziewiętnastym wieku bogata i szczydła Warta dawała pracę dziesiątkom rybaków, istniał nawet Cech Rybacki. Polowki dokonywano głównie między ujściem Prosy a Obornikami. O tym jak były to obfito połowy niech świadczy fakt, że nadmiar podaży mocno obniżał ceny ryb. Mięso jesiotra uważano wówczas za niezbyt smaczne, zaś łkrą gardzono. Wielki targ rybny prosperował w Poznaniu przy moście Chwaliszewskim, gdzie był również port rzeczny.

Aż nadszedł czas fabryk, epoka chemii, wyścig ku samozagładzie. Już w 1900 roku do Warty spłynęły pierwsze przemysłowe ścieki. Pół wieku później beznadziejnie puste sieci zwiłał ostatni rybak. Ostatnia wzmianka o jesiotrze zachodnim pochodzi z 1951 roku. Dziś gatunek ten uważa się za bezpowrotnie stracony.

NADZIEJA

Widok umierającej Warty przywraca opamiętanie. Jeszcze skutecznie działa na ludzką wyobraźnię suchy kran w mieście, które przecież leży nad wielką rzeką. W Poznaniu ślamazarnie ruszyły prace przy budowie oczyszczalni ścieków. Podobne inwestycje trwają w piętnastu miastach województwa i w pięćdziesiąciu wsiach. Ale dopiero w przyszłym dziesięcioleciu oczyszczalni ścieków doczekają się najwięksi truciele Warty — garbarnie i cukrownie.

Warta z nadzieją oczekuje na taki dzień, kiedy Nerem popłynie normalna woda. Wielkopolska chce ratować bezlitośnie zaturaną rzekę. Liczy na pomoc Łódź...

Pod Mostem Chrobręgo dzielnie cycha samotny wędkarz. Moczy kij w szarej, wartkiej cieczy.

— A w Tamizie znów pływają pstrągi — powiada. — Chciałbym doczekać...

ROMAN KUBIAK

Motto: *Gatunek ludzki uzależniony jest od roślin prawie pod każdym względem.*

R.G.S. Bidwell

Na pytanie o pożytki z roślin przeciętny człowiek odpowie, iż są one wielkie. Rośliny to pokarm, surowce, leki, ozdoba otoczenia. I to już prawie wszystko. Tymczasem, aby prawdziwie docenić znaczenie roślin dla biosfery, w tym i dla człowieka, należy przypomnieć sobie, po pierwsze, iż rośliny to nie tylko drzewa i trawa, lecz także mikroskopijne grzyby, glony, bakterie; trzeba także zdać sobie sprawę, iż źródłem energii dla biosfery jest światło słoneczne — zamieniane na energię chemiczną wyłącznie przez rośliny, i dopiero po takiej zamianie przyswajalną przez świat zwierząt, a przede wszystkim należy cofnąć się

J. STANISŁAW KNYPL

Rośliny dla ludzi

wyobraźnia do początków Ziemi i życia na niej, by rozwiązać zagadkę składu obecnej atmosfery, zawierającej wyjątkowo dużo tlenu (tu warto przypomnieć, iż we Wszechświecie tlen jest bardzo rzadki, na jeden atom tlenu przypada tysiąc atomów wodoru).

KRAŻENIE MATERII

Rośliny wykonują niewyobraźalnie wielką pracę w środowisku, m.in. uczestnicząc w krążeniu węgla, azotu, substancji mineralnych, wody. Obecnie atmosfera zawiera około 650 mld ton węgla. Gdyby nie było oddychania, wszystkie dwutlenki węgla zostałyby związane fotosyntetycznie w ciągu około 35 lat. Dzięki oddychaniu zwierząt i człowieka powraca do atmosfery około 1/5 wiązanego dwutlenku węgla. Reszta wraca w wyniku rozkładu substancji organicznej przez mikroorganizmy wodne i glebowe oraz dzięki oddychaniu roślin wyższych. Pomiedzy obu procesami asymilacji i dysymilacji utrzymywana była równowaga, dzięki czemu zawartość dwutlenku węgla w atmosferze była prawie stała w ciągu ostatnich 120 lat. Niemniej w XX wieku notuje się statystycznie znaczny, choć niewielki wzrost stężenia dwutlenku węgla w atmosferze wskutek rozwoju przemysłu (spalanie węgla, ropy, gazu). Zjawisko jest potencjalnie groźne, ponieważ dwutlenek węgla zatrzymuje promieniowanie cieplne (efekt szklarniowy) w wyniku czego temperatura powietrza może wzrosnąć — z katastrofalnymi skutkami dla klimatu i biosfery.

Mimo, iż w warunkach optymalnych, laboratoryjnych, fotosynteza silnie wzrasta wraz ze wzrostem stężenia dwutlenku węgla, rośliny w warunkach naturalnych nie są w stanie wykorzystywać dodatkowych jego ilości, stanowiących produkt działalności technicznej. Ostateczne natężenie fotosyntezy zależy bowiem także od innych czynników, zwłaszcza temperatury, dostępności wody, substancji mineralnych (zwłaszcza NPK: przyswajalnego azotu, fosforu i potasu) i mikroelementów. Dość oowiedzieć, że tzw. efektywność fotosyntetyczna w naturalnych zbiorowiskach roślinnych wynosi około

jednego procenta, roślin uprawnych — około 2 proc., podczas gdy w warunkach laboratoryjnych można ją zwiększyć do 15 procent.

Rośliny lądowe wytransportują rocznie, w skali globalnej, około 16 tys. km sześć. wody, a mikroorganizmy w glebach uprawnych wiążą około 60 mln ton azotu atmosferycznego. Jak wielka jest to praca, niechaj unaochni prości przykład. Jeżeli weźmiemy pod uwagę łan pszenicy o powierzchni 1 ha, dającego około 4 ton ziarna i 6 ton słomy, to łan taki zużywa około 20 ton dwutlenku węgla, podczas wegetacji, wydziela około 14 ton tlenu oraz 3 ton dwutlenku węgla (w wyniku oddychania). W okresie wegetacji łan taki transpiruje do atmosfery około 3 tys. ton wody; na wykonanie tej pracy zużywa około 2x10⁹ kcal

energii promienistej. Do wzrostu i rozwoju, czyli do wydania wspomnianego plonu biologicznego około 10 ton, łan taki zużywa około jednej tony NPK. W przypadku terenów nieuprawianych, pobrane substancje mineralne wracają do gleby wskutek działalności saprofitów, rozkładających martwe szczątki organiczne. W przypadku zbioru roślin, następuje zubożenie gleb w przyswajalne substancje mineralne, zwane wyjąłowieniem gleby; zachodzi potrzeba ich uzupełnienia pod postacią nawozów sztucznych. Lecz i tutaj ogromną rolę odgrywają mikroorganizmy glebowe, zdolne do redukcji azotu atmosferycznego — nieprzyswajalnego dla roślin wyższych, do przyswajalnego amoniaku. Obecnie biologiczne wiązanie azotu atmosferycznego około 1,5 raza przewyższa ilość azotu zwracanego glebom pod postacią nawozów sztucznych. Zwrócić należy uwagę, iż przemysłowa produkcja nawozów azotowych jest bardzo energochłonna i kapitalochłonna; rośliny czynią to bezpłatnie i bez toksycznych odpadów.

Rośliny stanowią niezwykle istotny czynnik, regulujący stosunki wodne. Nie tylko dlatego, iż pobierając ją z gleby i podglebia (korzenie niektórych palm sięgają ponad 50 m w głąb), odprowadzają ją do atmosfery. Również dlatego, iż zatrzymują wody deszczowe, zmniejszając niebezpieczeństwo powodzi. Zapobiegają one również erozji gleb, przy czym ich szczątki, podlegające mineralizacji, stanowią główny składnik tego, co w glebach najcenniejsze, mianowicie humusu. Brak roślin — to susza na zmianę z powodziami oraz szybka erozja.

ŁAGODZENIE KLIMATU

Dopiero teraz zaczynamy zdawać sobie sprawę, jak wielkie znaczenie mają rośliny dla klimatu. Ogromne połacie Azji i Afryki za pamięci ludzkiej były kwitnącymi ogrodami; wskutek rabunkowej gospodarki rolnej i leśnej są obecnie pustyniami. Klimatycznym przykładem dewastacji tego typu jest Etiopia. Wydaje się, że uporczywie susze trapiące afrykański region Sahelu są bezpośrednim skutkiem trzebień

puszczy nad Amazonek. Tę samą przyczynę mają katastrofalne ulewę i huragany nawiedzające inne części świata. Dopiero teraz zaczynamy zdawać sobie sprawę, iż to, co człowiek „poprawia” w Brazylii, odbija się na życiu człowieka w Nigerii, w Bangladesz, w Australii. Przyroda jest jedna; każde „ulepszenie” jej w jednym miejscu prowadzi do reakcji we wszystkich pozostałych jej ogniwach. Możemy, oczywiście, stwarzać sztuczne morza i zwracać błękit rzek, a także przemieniać „zielone piekła” puszczy na Kolchidy; ale ulepszając tu, pogarszamy tam.

Nad terenami porośniętymi roślinnością wyraźnie zmniejsza się stężenie dwutlenku węgla dniem, wzrasta „ponad normę” nocą. Wzrasta też wilgotność powietrza, wskutek nieustającej transpiracji dniem. Nocą, przy spadku temperatury, prowadzi to do pojawienia się rosy.

Nie bez znaczenia, co się mikroklimatu tyczy jest fakt, iż rośliny wydzielają wiele substancji zapachowych, olejków eterycznych, substancji bakteriobójczych i fitonocydów. Co wyjął, dlaczego sanatoria i domy wczasowe wznosi się właśnie na terenach zielonych. Dodać warto, iż na półkuli północnej, dla nas najbardziej interesującej, bo tu właśnie żyjemy, rośliny istotnie wpływają na skład atmosfery, zwłaszcza na zawartość dwutlenku węgla, po wysokość aż szesnastu km. Latem, właśnie na wysokości 16 km, notuje się u nas wyraźne zmniejszenie zawartości dwutlenku węgla; zimą — odwrotnie, jego stężenie wzrasta ponad przeciętną. No cóż, jesteśmy półkulią najwyższą zindustrializowaną.

Rośliny są głównym czynnikiem, oczyszczającym powietrze, glebę i wody z produktów ubocznych działalności przemysłowej. W tzw. biologicznych oczyszczalniach ścieków czynnikiem aktywnym są właśnie odpowiednio dobrane gatunki bakterii i glonów, tj. roślin. I nie bez powodu tereny zielone nazywa się „plucami miasta”. Na ochronnych pasach zieleni zatrzymują się toksyczne wyziewy przemysłowe — lecz nie wszystkie, niestety. Zdolność roślin do detoksykacji produktów odpadowych przemysłu, acz wielka, jest ograniczona. Wreszcie rośliny również ulegają zatruciu, o czym świadczą zamieranie wszystkich, co zielone. Ogromne połacie Łodzi są już, w istocie rzeczy, pustyniami biologicznymi.

ROŚLINY MOGĄ SIĘ BEZ NAS OBEJŚĆ

Natomiast my bez roślin istnieć nie możemy. Jeżeli w działalności technicznej nie wzięliśmy pod uwagę dalekosieżnych skutków naszego postępu może być naprawdę źle.

Pomińmy milczeniem rejony Mezopotamii i Sahary, które nie tak dawno były krajami mlekiem i miodem płynącymi, tj. zielonymi. Pomińmy milczeniem wpływ niszczenia puszczy w dorzeczu Amazonek na to, co dzieje się w Afryce. Bo czasy to odległe, i rejony nam też odległe. W zamian zwróćmy uwagę, iż już dzisiaj plażę rejonów wysokoprzemysłowych stanowią np. kwaśne deszcze, o setki kilometrów od komin wyzracającego tlenki siarki i azotu zaturujące lasy, pola, łąki i wody. Powiedzmy sobie szczerze, iż kwasy produkowane dzięki kominom Śląska, rejonu Kozycy czy Kujbyszewa, trują Skanynawię i zagłębie Ruhry; kwasy znad zagłębia Ruhry — trują nas: w oczach syją się tysiącletnie kamienie Krakowa, żółkną lasy na czele z parkami narodowymi, wymierają ryby w stawach. Czego myśły się wyzyli — dzięki wysokim kominom, to nam z nawiązką

wracają — dzięki jeszcze wyższemu kominom. Myśmy zoszczędzili na instalacjach oczyszczających, lecz inni zoszczędzili lepiej; lepiej wiedząc, dokąd wieją wiatry. Wiatry zaś wieją, niestety, zwykle nam właśnie w oczy.

W skali kraju z powodu trzebień lasów w górach, dzisiaj wydawać musimy miliardy na regulację rzek i melioracje oraz rekultywację gleb. Z powodu błędów agrotechnicznych, pozbywamy się urodzajnej gleby — wymywanej i wywiewanej, a zwłaszcza zaturawanej. Stosowane bez umiaru, a zwłaszcza nieumiejętnie, pestycydy, niszczą nie tylko chwasty i szkodliwe owady. One niszczą przede wszystkim mikroflorę i mikrofaunę gleb i wód; one przecinają naturalne związki i zależności w biosferze; one zaburza działanie mechanizmów autoregulacyjnych — z konsekwencjami łatwymi do przewidzenia. W skali mikro konsekwencje te możemy oglądać wokół naszych „standardowych” inwestycji przemysłowych, wokół których wszystko co zielone, żółknie. To zaś to uroszenie naszpikowane jest rzeźcą, oliwem i całą chemią, z której tak dumni jesteśmy. Ginią nie tylko zwierzęta, odzwiażające się zatrutymi roślinami. Ginią przede wszystkim saprofity rozkładające martwą substancję organiczną, mineralizującą ją, a tym samym wykonującą olbrzymią pracę nad zwróceniem glebom, wodzie i atmosferze tego, co rośliny fotosyntetyzujące z nich zabrały.

Gatunek rośliny czy zwierzęcia powstawał przez miliony lat. Zginąć może w mgnieniu oka. Obecnie każdego dnia bezpowrotnie wymiera po kilka gatunków roślin, i tych wielkich, i tych mikroskopijnych. W Łodzi od ćwierćwiecza nie chcą „przyjmować się” rólce lipy, wiązy, świerki. Gdy zamrą drzewa, posadzone przez dziadków — zostaniemy sami z sobą na betonie.

Czy nie ma ludzi, którzy by chcieli powstrzymać ten pęd ku katastrofie biologicznej? Oczywiście, są. Lecz głos ich, botaników, jak dołąd przegrywają z głosem techników i ekonomistów. Ktoż to technicy i ekonomiści, acz lubiący poodychać świeżym powietrzem, najlepiej w jakimś puszczy niezbyt zastawianej się, czym i gdzie oddychać będą ich dzieci i wnukowie.

ZIELONY, KOLOR NADZIEI

W biosferze nie ma niczego zbędnego, ponieważ poszczególne gatunki powstawały w warunkach twardej konkurencji, a łańcuch wzajemnych zależności ustalał się przez miliony lat. To tylko z naszego punktu widzenia jeden gatunek jest szkodliwy, inny pożyteczny, jeszcze inny obojętny. To tylko nam się wydaje, iż możemy przyrodę z dnia na dzień „ulepszać”, „chwasty” niszczyć, a losem reszty nie przejmować się.

Trzeba, by świadomość naszej bezwzględnej zależności od roślin stała się wiedzą powszechną. Tu nie chodzi o jakieś bałwochwalcze kurzenie się przed bożkiem — Naturą, ale o zrozumienie ograniczeń i konieczności. Koniecznością zaś jest mieć zieleni jak najwięcej wokół siebie. Zwłaszcza, iż zielen jest bardzo łatwa do zastąpienia przez kolor żółty — piasek, przez kolor szary — usychłych badyli; co i czyniło, przed nami, kilka wspaniałych cywilizacji, odcinających się od swych biologicznych korzeni. Czy tylko z niewiedzy, czy też z dufności, stanowiącej matkę i ojca głupoty?

Póki co, warto chyba poznać nasze naturalne korzenie, aby wreszcie zasiąść do poważnej gry o zielen. Bez prób przechytrzenia.

Na koniec warto powtórzyć za Erikim P. Eklundem: „Zdolność ziemi do utrzymania ludzkim celom może się znaczenie, a czasem na stałe zyczerpać”.

Zejsście

A jakby tak w głąb studni zejść cyrklem
mierzyć kręgi duszy wód
aniola ulepić z gliny
przyprawić skrzydła
w postumencie siłą grawitacji
osadzić
schować głowę w piasek
i
czekać
aż
ostatnia mrówka
wydrąży ozodolę

Podanie o pokój okolicznościowy w miejskim szpitalu psychiatrycznym

Notatka służbowa:

Spojrz
głębiej
poeto
jakie misteria szykują
konfesjonal noszą
i spowiedź na taśmie
psychoanalitka na kapłana święca
oczy diabła i boga
na jednej tacy podają
dwie białe pigułki
A cenzor gra na strofach wiersza
z uśmiechniętą gębą
i szepcze sztyderezo
— „Pokój pan otrzymał
z przydziału
i budżetu narodowego”.

Fewnej nocy
poeto
czarni wystawnicy boga
albo diabła
w służbowych czapkach niewidkach
zapukają do drzwi
Właśnie tej nocy
poeto
zankną twój język
w osobnym paragrafie
i przestaniez pisać wiersze
nawet te anty —
konsumpcyjne
a rewolucyjnego Audena
wyrzuć przez okno
niech odpoczywa na wieki
tam na dole

Matka z dzieckiem
przy piersi
idzie rano, po mleko
robotnik zakłada skrzydlate buty
(bo w miejskiej komunikacji tłok)
i odfrwa na głos fabrycznej syreny
alkoholik w bramie dopija
resztę wódki
prostyutka
jak biedronka
niebdałe wstaje z ulicznej ławki
a księżyc tonie
w miesięcznej krwi poranka

ciężkie dręczony halucynacją nocy
śnisz

o śmierci co cicho stapa
ubranej w ludzkie trzewia

o pijanym hamlecie
który popelniał samobójstwo
w dworcowej poczekalni
na rozkładzie
jazdy
bo pociąg się opóźnił
i kochanka nie przyjechała

o miłości
białą farbą pisanej
na ulicznych transparentach

o przyjaźni
złączonych bratnich rąk
i nie obciętych paznokciach

o czystości i brudzie
o chlebie i pieśni
o wódce i winie
o zbrodni i miłości
o grzechu i rozpaczcy
o mleku białym i cyjanku potasu
i o tym wierszu

nocnym so... niedomytym
który po latach
jak huragan
zerwie z grobu milczenie

Kiedy w lipcu 1944 roku Armia Czerwona rozpoczęła wyzwolenie ziem etnicznie polskich, równoległe do działań wojskowych rozpoczęła się batalia z Niemcami o zachowanie i przejęcie w polskie ręce zakładów przemysłowych, kopalni, maszyn, urządzeń i surowców. Troska o powojenną gospodarkę kraju przejawiała się m.in. w sabotowaniu wywozu mienia polskiego do III Rzeszy, w ochronie fabryk przed zniszczeniem, w zapewnieniu obsługi zakładów pracujących w ruchu ciągłym. Te oddolne, często spontaniczne przedsięwzięcia w powojennym stopniu ułatwiały następnie państwu przejmowanie i uruchamianie fabryk i przedsię-

Przybyli za frontem

biorstw. Działo się tak np. w Łodzi, gdzie nie było okresu, w którym zakłady przemysłowe stałyby „nieżyłe”. Dzięki temu nie zanotowano też poważniejszych przypadków grabieży mienia i urządzeń fabrycznych. Załogi same wypelnily lukę czasową między opuszczeniem miasta przez hitlerowców a przejęciem władzy przez pełnomocników rządu polskiego, przystępując jednocześnie w zorganizowany sposób do uruchamiania zabezpieczonych przez siebie obiektów. Przybyła do Łodzi 21 stycznia 1945 r. Grupa Operacyjna na czele z inż. Henrykiem Gołan- skim zastąpiła więc korzystną sytuację, w której najważniejszym zadaniem było zatwierdzenie obsady wyłonionych oddolnie kierowników fabryk i udzielenie poparcia w realizacji robotniczych inicjatyw. Człon- kowie Grupy Operacyjnej pomogli też szybko nawiązać kontakty pomiędzy zakładami tych samych branż, uregulować stosunki między różnymi gałęziami łódzkiego przemysłu i zorganizować aprowizację miasta. Nadzorowali również realizację generalnych założeń polityki gospodarczej nowej władzy, nie dopuszczając np. do przejęcia przez spółdzielczość Zakładów Kindermanna w Łodzi oraz Kruscha-Endera w Pabianicach.

Działalność Łódzkiej Grupy Operacyjnej trwała stosunkowo krótko, gdyż już 1 lutego 1945 roku jej zwierzchnicy war-

szawscy uznali, że wykopisła swoje zadania, przygotowując podstawy do normalnej pracy przemysłu Łodzi i województwa łódzkiego. Funkcje Grupy przejęły więc do 15 lutego 1945 r. utworzone przez nią wydziały przemysłowe (łódzki i wojewódzki). Ogółem robotnicy i pełnomocnicy władz zdolali zabezpieczyć 303 przedsiębiorstwa, z których do połowy lutego 1945 r. pracę podjęły 102 zakłady.

Proces przejmowania i uruchamiania gospodarki był o wiele bardziej skomplikowany na innych terenach, zwłaszcza na tych, które do 1939 r. znajdowały się poza granicami II Rzeczypospolitej, a w 1945 r. weszły w skład państwa polskiego. Sprawom tym historycy poświęcaли dotychczas stosun-

na ujawnienie wielu interesujących faktów i epizodów z tego pionierskiego okresu Polski Ludowej na wymienionych obszarach. Okres, który interesował T. Dubickiego jest w odniesieniu do tych obszarów bardzo krótki, zaledwie kilka miesięcy: od przejścia frontu do momentu zainstalowania się terenowych władz gospodar- czych i przekazania im funkcji przez grupy operacyjne. Był to jednak nader ważny okres dla rozwiązania podstawowych problemów społeczno-gospodarczych ziem wyzwolonych.

Efektowna działalność grup operacyjnych obejmowała w skali kraju nieco ponad 7 mie- sięcy (koniec stycznia — poc- zątek września 1945 r.). Jed- nakże członków przemysłowych grup operacyjnych przygotowy- wał PKWN już od jesieni 1944 roku. Byli one jedynym o cha- rakterze ogólnokrajowym funk- cjonującym aparatem resortu przemysłu. Tworzono je po- czątkowo głównie spośród fachowców w dziedzinie admini- stracji i gospodarki, oddelego- wanych w tym celu z Wojska Polskiego i odpowiednio prze- szkolonych. Ostatecznie w składzie grup znajdowali się także cywili działacze poli- tyczni i związkowi. Wraz z roz- poczęciem styczniowej ofensy- wy wojsk radzieckich w 1945 roku wyruszyli oni za fron- tem, by natychmiast zabezpie- czać, przejmować, a następnie uruchamiać przemysł na wy- zwolonych obszarach.

T. Dubicki omówił w szcze- gółowy sposób dokonania prze- mysłowych grup operacyjnych i to zarówno na szczeblu wo- jewódzkim, jak i powiatowym. Na kartkach jego książki prze- wija się bardzo wiele nazwisk bohaterów tego „frontu gospo- darczego”. Autorowi udało się jednocześnie zilustrować ogrom pracy, jaką oni wtedy wyko- nali. Z zainteresowaniem czy- ta się nie tylko o tym, jak przebiegało uruchamianie pierwszych po wyzwoleniu fa- bryk i przedsiębiorstw, ale i o tym, w jakich okolicznościach tego dokonano. A zdarzały się wielokrotnie momenty pełne napięcia i dramaturgii.

ALBIN GŁOWACKI

Tadeusz Dubicki, Pierwszy rok wolności. Przejmowanie i uru- chamianie przemysłu na Po- morzu, Ziemi Gdańskiej, War- mi i Mazurach, Książka i Wie- dzia, Warszawa 1985, s. 263 ce- na 300 zł.

Z półki recenzenta

POLSKI LEONIDAS

Przed wszystkim znamy go z legendy: bo- haterski obrońca Warszawy, szlachetny i dum- ny opierający się na drewnianej nodze brom się na szauca na Woli przed nacierającymi carskimi żołnierzami. General Józef Longin Sowiński, wzór rycerza i szlachetnego człowieka, wzór cnót obywatelskich i patriotycznych ginie przeszyty bagnietami.

Czesław Klak, docent historii literatury, w swojej pracy „Polski Leonidas” stara się roz- wikłać legendę generała Sowińskiego. Dlaczego rozwikłać? O tym dowiśle się czytelnik z tej dobrze napisanej, udokumentowanej i cieka- wej książki. A skąd w tytule grecki bohater Leonidas? Stąd, że generał Sowiński także przedkładał honor nad śmierć.

Czesław Klak: Polski Leonidas. LSW 193. Str. 234. Cena 250 zł.

WINO MŁODOŚCI

Dorota Chrościelewska jest nie tylko znako- mitą poetką: jej książki prozą posiadają nie- mniejszy walor. Oto ukazało się jej „Wino o smaku niezapomnianym”, lekka, dowcipna prze- pojona miłością do świata, ludzi i rzeczy opo- wieść o dorastającej dziewczynie i o tym, że właściwie wszystko co nas otacza ma jedynie wartość w momencie swojego istnienia, w chwili gdy zachodzi bezpośredni związek pomi- ędzy nami a innymi ludźmi i przedmiotami. I jeszcze o czymś przypomnia nam ta mądra książka: że zdarzenia z młodości, to bagaż, z którym już nigdy się nie rozstaniami, choćby nie wiem jak ciężko doświadczyło nas później- sza, dorosłe życie.

Dorota Chrościelewska: Wino o smaku nieza- pomnianym. KAW w Łodzi, 1986. Str. 128. Ce- na 150 zł.

ŚLYNNA BITWA

Ta bitwa była prologiem do ostatecznego u- padku Egiptu i wprowadzenia w starożytnym Rzymie dyktatury militarnej, a także przyczy- niła się do powstania niebawem pokoju rzym- skiego znanego jako „Pax Romana”. Sama bitwa rozegrała się w 31 r. p.n.e. Naprzeciw siebie stanęły dwie potęgi: flota rzymska na czele z Oktawianem i egipska dowodzona przez Antoniusza i Kleopatrze. Przegrali słynni ko- chankowie, by w rok później ponieść ostatecz- ną klęskę. Ich miłość i śmierć przeszły do his- torii i wielokrotnie były kanwą dla pisarzy i dramaturgów.

Andrzej Murawski: Akcjum 31 p.n.e. MON 1986. Str. 132. Cena 180 zł.

EROS I FILM

Dziś nawet dzieci wiedzą, że w filmach przede wszystkim ludzie się całują i na go- lasa tarzają się w łóżkach, a w przerwach pomiędzy tymi figlami albo się zabijają, albo czegoś tam dokonują, albo giedzą bez ładu i składu. Maria Kornatowska postanowiła jednak znaleźć (czy może opowie- dzieć?) relacje zachodzące pomiędzy zjawis- kami, jakimi są seks i film. Wbrew tytułowi: nie jest to kolejny przewodnik po zakamarkach ludzkiego libido eksponowanego na ekranie. Jest to rzeczowa, przedstawiona z wielką znajomością rzeczy (jednocześnie bez grzechu akademizmu) praca wyjaśniająca rolę i zadania seksu w filmie światowym, a także w polskim.

Maria Kornatowska: Eros i film. KAW w Ło- dzi 1986. Str. 182. Cena 180 zł.

UCZEŃ CZARNOKSIĘŻNIKÓW

To bardzo ciekawa książka, na kartkach któ- rej „czas się cofnął i odwrócił lica”. Tadeusz Chrościelewski przywołał z mroków niepamięci, z historii choć nie tak odległej a przecież ciągle aktualnej, ludzi, z którymi zetknął go los, z którymi połączyły go wspólne cele, a często młodzieńcza przyjaźń. A byli to ludzie nieprzeciętni, „czarnoksiężnicy”, którzy stali się dla nauczycieli, mistrzami, autoryteta- mi, którzy wywarli niezaprzeczalny wpływ na drogę twórczą tego poety, prozaika i tu- macza.

gorąco zachęcam do lektury tej świetnie napisanej, przesyconej delikatnym humorem — jak to u Chrościelewskiego — książką. I choć czasem pisze o sprawach wielkich i wielkich ludziach, nie czyni tego na kłęczkach. Ale za- wsze z szacunkiem.

Tadeusz Chrościelewski: Uczeń czarnoksiężni- ków. KAW w Łodzi, 1986. Str. 232. Cena 250 zł.

Opracował: E. IW.

O komiksie w Polsce niewle- te się mówi i pisze; bo jakże pisać o zjawisku, którego się nie zna? Eg- zystencja komiksu w naszym kraju przypomina raczej żywot roślinny w klimacie pustynnym, niż rozwój zjawiska artystycznego. Rozpaczliwe próby przetrwania różnorodnych kataklizmów przy pomocy stosowanych do „klimatu” mutacji, wykorzystywanie każdej nadarzającej się okazji do — choćby krótkotrwałego — rozwoju... Wszystko to przy nieslabną- cym „głodzie” komiksu ze stro- ny sporej liczby czytelników, ir- racjonalnej, bo wynikłej z nie- znajomości zjawiska niechęci in- nych, kamiennej obojętności krę- gów decyzyjnych oraz, nieustają- cego komiksowego zalewania na świecie. Wystawy, festiwale, osza- lamiające jakości edycje rysow- anych opowieści... Co z tego do- ciera do nas? Do nas, dla któ-

jest to jedyne obecnie szeroko dostępne kompendium wiedzy o komiksie — bądź co bądź jednej z dziedzin ludz- kiej twórczości. Co wię- cej — kompendium pisane specjal- nie z myślą o polskim czytel- niku, uwzględniające więc moż- liwość zupełnej nieznanności zjawiska. Postawiło to autora przed koniecznością pogodzenia w książce dwu odrębnych funkcji: funkcji popularyzatorsko-informa- cyjnej z funkcją wyznaczoną sto- wami podtytułu: „próba defini- cji nowego gatunku artystycznego”.

Ta dwoistość zadań, nieszkodli- wa dla sfery informacyjno-pub- licystycznej, odbiła się niekorzy- śnie na sterze naukowej; Toen- litz — publicysta zbyt często bie- rze górę nad teoretykiem, zaś ba- dacz kultury masowej — nad ba- daczem gatunku artystycznego (czemu nie należy się dziwić, gdyż o Be tym pierwszym jest Toep-

odmienności w sposobie konstruo- wania znaczeń przez te formy. Zupelnej arbitralności łączenia znaków-obrazów w rebusie moż- na przeciwstawić naśladowanie lub zastępowanie rzeczywistych stosunków przestrzennych i czaso- wych przez układ elementów obrazu komiksowego.

Powyższe wątpliwości nie poz- walały mi uznać „Sztuki komik- su” za w pełni udaną próbę naukowej analizy zjawiska. Niem-niej należy docenić wagę tej książki jako zbioru informacji o komiksie, zbioru — co najważ- niejsze — ilustrowanego, co zna- cznie przybliży odbiorcy opisywa- ne zjawisko. Do wydawcy moż- na mieć pretensje o tak mały — w stosunku do potrzeb — wybór ilustracji oraz o eliminację tak ważnego i atrakcyjnego czynnika, jakim jest kolor. Książka dość długo czekała na druk i to mo- że usprawiedliwić brak w przed- stawionym w niej obrazie ko-

Przepustka do komiksowego raj

rych nie tylko współczesność, ale i uświęcona tradycja historia komiksu to takiś daleki, egzoty- czny i niedostępny świat? Przyjęło się uważać, że zmo- wa milczenia wokół komiksu jest wy- nikiem obojętności czy niechęci tych bardziej kulturalnych, a szczególnie naukowych kręgów odbiorców. Myślę, że jest nieco inaczej: komiks budzi, zwłaszcza ostatnio, spore zainteresowanie wśród ludzi nauki — chociażby z racji swej egzotyki — ale zain- teresowanie to nie może wydać konkretnych owoców z braku moż- liwości bezpośredniego kontaktu ze zjawiskiem w jego pełnej po- stać. Wydawać by się mogło, że w naszych warunkach napisanie teoretycznej rozprawy o komik- sie jest zupełnie nierealne, a jed- nak...

Praca Krzysztofa Teodora Toe- plitza pt. „Sztuka komiksu” to książka długo oczekiwana i nie- wątpliwie potrzebna. Jest to pierw- sza tak wyraźna oznaka istnie- nia w Polsce zapotrzebowania na wiedzę o komiksie, a zarazem po- ważnego, naukowego nim zain- teresowania (dwa interesujące i wnikliwie artykuły teoretyczne na ten temat napisał wpraw- dzie Ryszard K. Przy- bylski, ale ich rozmiary i łeb rozpowszechniania ograni- czyły ich zasięg do dość wąskie- go kręgu odbiorców). Poza tym

litz zawsze, tę drugą rolę przy- jął tylko okazjonalnie). Stąd chyba życznie — choć w dobrej wie- rze — rozbudowanie tak staran- nie opracowanej definicji, niepo- trzebne poszerzenie jej o infor- macje historyczne czy „technicz- ne” (zupelnie wystarczającym kryterium jest tu specyfika po- łączenia obrazu i słowa w samo- dzielną całość narracyjną — za- pewnia to definicji większą uni- wersalność i funkcjonalność). Stąd też kilka — wydaje mi się — chybionych teorii, których pra- wdomość dla całego gatunku można podważyć istnieniem przy- kładów dzieł z nimi sprzecznych — jak teza o wyjątkowości roli bohatera komiksowego w rozwo- ju gatunku i rozpatrywanie tej kategorii jako jego wyznacznika, czy koncepcja wielośladowej per- spektywy w ramach jednego obrazu jako cechy gatunkowej komiksu. Bohater w komiksie pełni dokład- nie tę samą funkcję, co w in- nych sztukach narracyjnych, zaś perspektywa jako element ogól- nej konwencji plastycznej każde- go komiksu musi być i jest sto- sowana konsekwentnie; nieuzasad- nione treścią łamanie przestrze- ni jest co najwyżej wynikiem nieudolności rysownika. Dość ry- zykowna wydaje mi się też ana- logia komiksu i rebusu. Toepnitz nie uwzględnił tu podstawowej

miksu tego współczesnych form, których różnorodność i złożoność podważył może niektóre zawa- że w niej tezy. Także zakres ma- teriału teoretycznego, wykorzystane- go w książce można by posze- rzyć o kilka nowych pozycji, ale... w naszej obecnej sytuacji bieżą- ca znajomość światowego dorob- ku w tej dziedzinie jest po- prostu niemożliwa. I dlatego należy cieszyć się, że „Sztuka komiksu” mimo wszystko ujrzała światło dzienne, że stała się tym pierw- szym krokiem w stronę „komik- sowego raj”. że stworzyła wresz- cie szansę pojawienia się cze- goś, czego w polskich kontaktach z komiksem dotąd brakowało: świadomości komiksu. To, co dotąd gnało polskiego czytelnika do kontaktów z tą formą wy- powiedzi, określiłbym raczej ja- ko instynkt; ci, którzy mieli do tego możliwości, sami zaczęli przekształcać go w świadomość; dla pozostałych szansę tę stwo- rzyła dopiero praca KTT. Toen- litz podjął ryzyko przetarcia szla- ku dla polskiej myśli o komik- sie; uczynił pierwszy krok. Kto uczyni następny?...

WOJCIECH BIREK

Krzysztof Teodor Toeplitz — „Sztuka komiksu. Próba defini- cji nowego gatunku artystyczne- go”. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1985.

Wrywany ze snu, śladam na łóżku i mimo nagłych posturczywań Mamy ubieram się ślamazarnie. Radio, nowy sześciolampowy „Telefunken” ryczy na cały regulator i podaje jakieś niezrozumiałe dla mnie komunikaty.

— A więc wojna! — dobiega z oddali głos Ojca.

— Wojna? — powoli, bardzo powoli, dociera do mnie właściwy sens wydarzeń. Po chwili, przez otwarte okna, wpada do mieszkania ogłuszający ryk syreny.

— A więc to tak! — myślę w chwili, kiedy wraz z Rodzicami wybiegam do domu. Goni nas dziwny dźwięk, który przypomina trochę brzęczenie natrętnej muchy. Ktoś nie powoli, potem coraz szybciej, a kiedy jest już blisko, wdziera się do uszu przeraźliwym łoskotem od którego głowa zdaje się pękać na dwoje.

Pierwsze bomby spadają obok budynku stacji. Przeskakujemy przez drogę i unykamy między rzędami zrujnowanych, spłatanych ięcin ziemniaczanych. Obok nas biegną inni: — dorosli i dzieci. Patrzę pod nogi by nie upaść. Widzę z bliska pochyloną sylwetkę Mamy, jej spoczoną twarz i szeroko otwarte usta.

Padam śmiertelnie zmęczony. Samoloty wracają, zniżają lot i zasypują nas gradem kul. Leżą twarzą do ziemi i z wrażeń zamykam oczy.

I cisza.

— O Boże! — wzdycha Mama. — Nic ci nie jest?

— Nic! — tylko but straciłem w kartofliisku; — musiał być źle zasnurowany.

Mama mówi, że to głupstwo i znajdziemy go na pewno w drodze powrotnej.

— Chyba już się znalazł! — Podskakując na jednej nodze podbiegam do Ojca, który podaje mi odszukany w redlinie trzewik.

W polu spotykamy sąsiadów. Podnoszą się, otrzepują i podobnie jak my zwracają w stronę domu. Przerazenie wywołane atakiem lotniczym powoli mijają. Tylko Irenka, moja rówieśniczka, zanosi się spazmatycznym płaczem.

Przed domem zebrał się już tłumek. Ludzie komentują wypadki, wymieniają wrażenia i przeklinają barbarzyństwo „Luftwaffe”.

— To niesłychane! — oburza się dystyngowany, starszy pan. — Kto to widział, aby strzelać z samolotu do bezbronnej ludności. Przeżyłem pierwszą wojnę światową i nie pamiętam takiego przypadku. Jak mi Bogu miły — tego nie pamiętam...

Zebrań kiwają głowami i niby, że zgadzają się, ale niejedyn w duchu sobie myślą: — Bogu dzięki, że żyjemy, przecież to prawdziwy cud, a reszta...

Romek, syn naszych sąsiadów, usiadł na brzegu ławki i delikatnie otrzepuje nowiutki mundurek harcerski — przedmiot jego dumy i naszej zazdrości. Obok stoi jego mama z Irenką. Osmiolotka patrzy na brata zapłakany i oczyma i głośno potiąga nosem. Jeszcze niczego nie rozumie.

Mam wielką ochotę zapytać starszego od siebie o kilka lat koleżę, czy bardzo się bał, ale nie śmiem mu teraz przeszkadzać. Patrzę na stojących dokoła i wydaje mi się, że strach przeżywali wszyscy, a tylko niektórzy zgrzywają się teraz na bohaterów. Nie ma więc o co pytać. Romek zapewne także byłby się nie przyznał. Widzę to wyraźnie po jego minie. Och, tak! Teraz każdy może udawać, ale przed chwilą, w kartofliisku, tam było strasznie!

Wzdrygam się i odwracam głowę w przeciwną stronę.

Ludzie zaczynają się powoli rozchodzić. Jedni do swoich mieszkań, a drudzy idą popatrzyć z bliska na skutki bombardowania. Bomba lotnicza, niewątpliwie wymierzona w budynek stacji, spadła obok i wybiła w ziemi ogromną dziurę. Idę z innymi. Jestem zadowolony; dziura — jak to dziura i na dobrą sprawę, nie ciekawego. Tylko z budynku położonego obok odpadło trochę tynku i kilka szyb wyleciało z okien. Wybiegam na peron. Pod nogami niemiłe zagryztało potłuczone szkło. Na kawałkach szyb jeszcze dyndają tu i ówdzie podłużne paski papieru co zgodnie z instrukcją miały zabezpieczyć je przed wypadnięciem.

— Sakramencka lipa! — pomyślałem z rozczarowaniem i ze złością kopnąłem wydarty z okna kawałek szyby. Gromadką najbardziej zagorzałych dyskutantów wciąż stała na podjeździe. Przypuszczalnie nadal sprzeciali się o wagę zrzuconej bomby.

Mało mnie to obchodzi. Wzruszyłem ramionami i pobiegłem w stronę domu. Już z daleka, z nieukrywanym niepokojem popatrywałem w okna.

Na progu powitała mnie Babcia. Podeszła nalu po została w domu i teraz ścisła mnie z taką czułością jakbym wracał z tamtego świata. Protestuję, ale Ona nie wypuszcza mnie z objęć.

— Babciu! — wołam, wyrwijając się nareszcie. — Czy szyby są całe?

— Jakże znów szyby? Co za szyby? — dziwi się Babcia. — O czym ty pleciesz?

Tłumaczę Babcie, że chodzi mi o szyby okienne, które kilka dni temu — z jej pomocą — oklejałem skrzyżowanymi po środku (najlepiej czarnymi) paskami papieru. Pracowałem z przekonaniem i wiarą w skuteczność tego zabiegu i teraz — po obejrzeniu stacji — przeżywam uzasadniony zawód.

— Babcia wzdycha: — pilnuj lepiej domu i nie odchodź daleko, bo sam widzisz co się wyrabia.

Czy widzę? Oczywiście, że widzę, ale nie mam najmniejszej ochoty zastosować się do życzenia Babcie.

— No to co, dobrze, że coś się wyrabia — stwierdzam z radością. — Śmiałaś się z obaw Mamy, żartowałaś z Taty — to i masz. Wojny miało nie być — prawda? A wojna jest — i to jaka...! Widziałas ten lej po bombie, co spadła obok stacji? Nie widziałas! A dziura — powiadam ci — jest taka ogromna, że można w niej schować wagon kolejowy. „Gdyby tak trzepło w stację, to klops” — powtarzam z miną znawcy zasłyszanej niedawno uwagę.

Babcia niby to słucha, ale widać, że nie podziela mojego zachwytu. Minę ma strapioną. Tak strapioną, że niedawna radość nagle znika. Jest mi jej ogromnie żal, ale nie wiem co powiedzieć, aby ją pocieszyć.

Aż nagle spływa na mnie olśnienie niby scena żywcem wyjęta z olakatu. Staję na baczność i na miarę swych możliwości wołam tubalnym głosem: — silni, zwarci, gotowi! Nie oddamy Gdańska, nie oddamy korytarza, nie oddamy...

— „nawet guzika” — dodaje Babcia, a przy tym uśmiecha się wyrozumięta i klepie mnie pieszczotliwie po policzku. — To co mówisz, jest bardzo piękne, ale piękne, rzadko kiedy bywa prawdziwe.

Ponieważ może to być zbyt trudne dla mnie do zrozumienia, dodaje: — bo tak niestety ten świat został urządzony. Jak dorosisz — sam to zrozumiesz, a tymczasem patrz szeroko i ucz się od innych.

Przytula mnie z czułością, a kiedy pytam czy wygramy wojnę, odpowiada, że jeśli nawet wygramy — to zginie mnóstwo ludzi.

WIESŁAW PREISS

Tamten wrzesień



I to jest straszne!

Smutnieję. Babcia stara się mnie pocieszyć i proponuje grę w sześćdziesiąt sześć. Wie doskonale, że przepadam za nią i nie zdołuję się na odmowę.

Graliśmy długo, bo nikt inny w tym dniu nie miał dla mnie czasu. Romek nie wrócił jeszcze ze zbiórki, na której dowodził swymi „Zuchami”. Mama zajęta była robieniem zapasów, a Tatuś z uchem przyklejonym do radia od kilku godzin słuchał wiadomości i oczywiście — jak zauważyła Mama — był najbardziej zapracowany ze wszystkich.

Do okien tymczasem zagląda szafirowy zmierzch i jeden po drugim bierze w posiadanie najbardziej odległe kąty pokoju. Światła nie palimy, ponieważ obowiązuje zaciemnienie, a zasłony są tylko w kuchni.

Idę tam, skąd dobiega mnie zapach przoczno- nego mięsa i palonych sucharów.

— Mamu, mogę skosztować.

— Weź kilka i na tym koniec. — Pamiętają, że suchary potrzebne są nam na drogę.

— Na jaką drogę?

— Tę, która nas czeka. A teraz nie przeszkadzaj — szepce mi do ucha i delikatnie wypycha za drzwi.

Radio w pokoju trzeszczało niemilosiernie. Tatuś — swoim zwyczajem — nie odstępował radia, kręcił zawieszoną kolorową gałką i bowi niewyraźne, rwące się słowa spikera. Na mój widok machnął niecierpliwie ręką. Co było robić? Zostałem sam.

W nocy śniłem o niedoszłych wakacjach. Przed oczyma miałem barwne foldery i czarno-białe zdjęcia z rodzinnego albumu, z ubiegłych lat: czarne urwiska w Jaremczu, oszalały Prut, spieniony Czernozół, flisacy w kręciastych strojach, w jakimś skalistym, dziwnym przelomie pod Worochłą i sięgające niebieskiej furtki, spasione wierzchołki Gorganów i Czarnohory. Przenosiłem się z miejsca na miejsce, a wioził mnie pociąg zawieszony między niebem i ziemią. W dole, zgrabnymi kolumnami falował wspaniały widok kolejowy. Szerokim łukiem wrzynał się w łagodne wzniesienia Płyty Podolskiej i biegi do końca swej drogi na dalekim Pokuciu aż do Zaleszczyk. Tu — podczas krótkiego postoju — objadam się mandarynkami i próbuję nadgryźć zieloną skórkę cytryny.

Mimo podszeptów czarnoksiężnika — skąd on się wziął? — rezygnuję jednak z poznania Zabiego. — Ach, jak strasznie długa jest ta wieś...!

Z ciepłej pościeli wypędza mnie kolejny nalot lotniczy. Tym razem, na szczęście fałszywy.

Od tamtego, pierwszego razu, poganiany wyciem stacyjnej syreny, jeszcze wiele razy biegłem co sił w pola ziemniaczane. Tylko Babcia Jadzia, niezachwianie wierząca w Opatrzność, za każdym razem pozostawała w domu.

Tutaj, nastroj pelen wyczekiwania, pomieszany z niepokojem i nadzieją. Widmo katastrofy jest tak niechciane, że może wydawać się surrealistyczne. Na każdą wiadomość, czy to dobrą czy złą, ludzie reagują gwałtownie i z jednej skrajności popadają w drugą. A trzeciego września szal radości. Euforia: Francja i Anglia wypowiadają Niemcom wojnę. Teraz Hitler pięknie, twierdząc kategorycznie niedawni pesymisci. Uradowany pedę do Babcie: — Anglia, Francja! Nie oddamy... — Nawet guzika

— uzupełnia Babcia. Tym razem jednak nie uśmiecha się wcale. — „Dziwne — wydaje się, że jest smutna.

Wczesnym rankiem piątego września opuszczamy Warę. Długi różaniec wozów wyładowanych wszelkim dobrem, wyrusza w daleką drogę — ewakuacja!

Opatuchany solidnie, bo dzień był chłodny, siedzę na wysokim koźle obok woźnic „Babcie”. Przez miasto jedziemy szybko. Z każdą chwilą przybywa furmanek. Coraz to nowe podwozy dołączają do naszej kolejarskiej rodziny. Obok granatowych mundurów kolejarzy, pojawiają się inne, ale wkrótce wszystkie one giną roztopione w masie cywilów.

Mijamy przedmieście zwane Solem i po drewnianym, głucho klekocącym moście przekaskujemy rzekę. Miasteczko położone na wysokim, lewym brzegu rzeki, pozostaje za nami. Dokoła zielenią się i żółcą rozkwitłe łąki „Zaplicza” — jak na tę porę roku wyjątkowo

I oto stoję na pierwszej w życiu zbiórce, robię baczność, spocznię i na prawo patrząc, padam, czolgam się i wstaję prawie tak — jak prawdziwy harcerz. Bawimy się w podchody, czarnego luda i w barka, a na zakończenie śpiewamy. To ostatnie — wypada fatalnie. Romek orzeka, że „beczymy jak stado owiec i na najbliższej zbiórce weźmie się za nas ostro. Kiedy prosto z szeregów rozbiegamy się i lokujemy na gotowych do odjazdu wozach — każdy oczywiście na swoim — to jak zauważa Mama: — „Iza w oku się kręci”.

Zegnani przez gościnnych gospodarzy wyjeżdżamy na drogę. Jesteśmy już daleko, a oni jeszcze długo kreślą w powietrzu znak krzyża. Po raz pierwszy ścisła mnie coś pod sercem.

— Mamu! — zwracam się z nieoczekiwanym pytaniem — dlaczego ci ludzie nazywali nas uciekinierami?

Odpowiada mi milczeniem. Tylko nasz woźnica, o trudnym do zapamiętania imieniu Anzelm, chrząka w taki sposób, że siedzący obok Taty z trudem ukrywa gniew.

— Uciekamy, to prawda — mówi w końcu Ojciec — ale... nie ze strachu przed Niemcami. Nie sądzisz chyba Wiesiu, że ci wszyscy ludzie jadący za nami — to tchórze. Widziałeś wszak jeszcze w Warce, rozlepię na murach plakaty wzywające do broni i wiedzy, że twój ojciec — podobnie jak i tamci ojcowie — tu wskazał ręką za siebie, wykonują tylko zarządzenie swoich przełożonych.

— Ale dla tych co pozostali w Warce, jest to jednak ucieczka — nie dają za wygraną.

Ojciec milczy. Powtórne chrząknięcie zwycięczaj milczącego pana Anzelma najwyraźniej denerwuje Taty. Wydaje się, że mała burza — przez moment — wisie w powietrzu. Moje pytanie również zawisło w powietrzu.

— Co chcieli osiągnąć przełożeni o których Ojciec przed chwilą mówił? — do czego zmierzali? — Teraz ja z kolei milczę i zastanawiam się, ale jest to dla mnie za trudne, stanowczo za trudne...

— Pomityguj się i przepros Ojca — niespodziewanie wzywa mnie Babcia.

Poczułem się skrzywdzony i dość energicznie protestuję. Za co? — myślę. Przecież nie takiego nie zrobiłem. A czy to moja wina, że pan Anzelm myśli podobnie, a kto wie, może także inni...

— Nie targuj się, tylko przepros — upiera się Babcia.

— No już dobrze, dobrze, przepraszam — mówię bez przekonania i na znak niezadowolienia ostentacyjnie odwracam głowę.

Babcia wie, że robię to dla świętego spokoju i z dezaprobatą wzdycha nad niesfornym wnukiem.

— A jednak, „niewiery z ciebie Tomasz”, synku — wtrąca się Mama. — Myślę jednak, że kiedy przyjeździemy do Kowla i zobaczysz Ojca na czelu kompanii, przestaniesz się dąsać i zmienisz zdanie.

To Ojciec mój pójdzie na front, jak inni?... Naraz czuje, że robię mi się zimno. Przecież wcale tego nie chciałem, nie chcę tego... nie chcę wojny! A może — myślę — kiedy przyjeździemy do Kowla wojny już nie będzie.

— Przepraszam — mówię bezwidnie. I sam dobrze nie wiem dlaczego to mówię. Właściwie dlaczego?... Może chciałem tylko zrobić przyjemność Babcie, a może...

— Hej, hej, panie poruczniku! Zatrzymajcie się! — rozlega się naraz wołanie z jadących za nami wozów.

— Co tam takiego?

— W ostatnim wozie spadło koło!

— Prrrr...! Mój Boże! To już czwarte — jęknął Ojciec.

— I tak dobrze, że nie wszystkie cztery naraz — zauważam.

— Nie zawsze musimy się zgadzać, ale tym razem przyznaję ci rację — śmieje się Ojciec.

— Mogę wysiąść! — wołam, wpadając w jego ton.

— Możesz, ale tylko siusiu i wracaj.

— Pójdę z tobą — dodaje Mama. — Tak szybko nie naprawią tego koła. Jestem o to spokojna.

— Idę z wami — oświadczyła Babcia i nieporadnie gramolił się z głębi wozu.

— „Masz babo placek”. Inni zobaczą, zrobią to samo i zanim zberzemy się do kupy, minie pół godziny, albo i więcej.

Tylko nie marudź Józeczku — ofuknęła go Mama. Sam nie jestes lepszy od innych. Ojciec postukał się palcem w czoło i co było wyrazem najwyższego zdenerwowania, sięgnął po pamiętkową, srebrną papierośnicę.

— Taty, zobacz! — wołam z daleka i wymachuję trzymanymi w ręku borowikami.

Tego było już za wiele. Na widok Mamy Ojciec postukał się palcem w czoło i co było wyrazem najwyższego zdenerwowania, sięgnął po pamiętkową, srebrną papierośnicę.

— Zapalmy, panie Anzelmie — zaproponował.

Pan Anzelm sięgnął delikatnie do środka, wyjął zeń wonny narkotyk, zapalił i zaciągnął się z rozkoszą.

— Jak żyje nie kurzyłem takich cygaretek. Ale dobre są i mocne — mruknął z uznaniem. — Przepraszam, panie poruczniku — czy mogę jeszcze jednego?..

Fragment książki

I. KOLOROWE PROSPEKTY, FOLDERY, REKLAMÓWKI...

Zawsze są niezbędnymi załącznikami do programów prezentujących wykonawców i realizatorów International Song Festival Sopot. W tym roku program był w kolorze w różowo-złoto-szafirowym, w formie i na podobieństwo zeszytów z kolorowymi papierami do wycinania.

Zielona muszla na okładce, była zapewne symbolem morskiego kurortu, w którym działa się ta muzyczna bajka ze sporą liczbą wykonawców różnych ról: pierwszego, drugiego i dalszych planów akcji.

Otworzymy więc pierwszą stronę programu Międzynarodowego Festiwalu Piosenki „Sopot-86”, z której dowiemy się, że „Piosenka nie zna granic”. „Umie zbliżyć ludzi oddalonych od siebie o całe lądy i morza...”, „Pomaga porozumieć się ludziom z odmiennych kultur i tradycji”, „Piosenka mówiąca najprościej o miłości i przyjaźni jednoczy nas wszystkich w dążeniu do tego, co dla człowieka najważniejsze i najpiękniejsze”. Tak pięknie wpisali się do programu organizatorzy festiwalu, przyrzekając, że dolożą wszelkich starań, aby wszyscy goście czuli się w Sopocie dobrze, żeby zapanował specyficzny i niepowtarzalny klimat stanowiący o unikalności naszego sopockiego święta piosenki. I gdyby nie deszcz, bohaterowie sopockiej baśni, czuliby się rzeczywiście wspaniale. Otoczeni staranną opieką, mieli do swojej dyspozycji nowoczesnie urządzone apartamenty z klimatyzacją, pokojówkami przynoszącymi śniadanie do łóżka, pilotami tłumaczami nie odstępającymi ich na krok, nawet strażnikami pilnującymi ich spokoju i bezpieczeństwa w dzień i w nocy. A kiedy wychodzili ze swoich luksusowych pokoi, czekali na nich kierowcy w 20 różnych wozach.

Do Polski przyjechali z 17 krajów świata. **ROBBI** z dalekiej Australii, gdzie wyemigrował z rodziną z... Polski w 1965 roku. Gdy zadebiutował w programie TV szukającym młodych talentów, wszyscy zadawali pytanie: „Skąd on się wziął, dlaczego nikt do tej pory o nim nie słyszał? Obecnie jest wschodzącą gwiazdą na horyzoncie australijskiego rynku muzycznego.”

SHIGERU z Japonii śpiewa już 16 lat i nie tylko, bo gra główne role w serialach TV, jest laureatem festiwalu na Majorce, w Tokio. **MARA** z Los Angeles, przywędrowała do tego wielkiego miasta z Baker, malefikiej miejsciny w stanie Minnesota, gdzie śpiewała w chórach kościelnych.

ANABELL to członkini Rady Nowej Trojny na Kubie, debiutująca jako 14-latką, dziś jedną z najpopularniejszych piosenkarek swego kraju.

MIKOŁS z Węgier, znany u nas z tytułowej roli w filmowej rock-operze „Król Stefan”, wokalista rockowy, coraz wyżej notowany we własnym kraju.

HANNE z Danii, absolwentka Królewskiej Akademii Muzycznej w Kopenhadze, wykładowca emisji głosu w Kopenhaskiej Szkole Teatralnej, zdecydowana na prowadzenie solowej kariery.

VICKI ze Szwecji, nie tylko śpiewa, ale gra na pianinie, gitarze, flecie, od niedawna lansowana na miarę co najmniej „Abby”, w czym znaczny wkład ma jej nowy producent Jerzy Grunwald.

IRINA z Moskwy, absolwentka eksperymentalnego moskiewskiego studia jazzowego, śpiewająca nie tylko jazz, ale i tradycyjne piosenki, laureatka festiwalu w Kraju Rad, jeszcze studentka III roku Państwowego Instytutu Muzyczno-Pedagogicznego. To właśnie ta ósemka będzie głównymi bohaterami baśni, którą pragnę teraz opowiedzieć.

II. WIELKI ŚWIAT W „MARINIE”...

Podobnie jak w ub. roku, festiwalowe życie skupiło się w luksusowym hotelu „Marina” w Jelitkowie. Ale w tym roku było tu skromniej, mniej stanowisk dla obsługi i mniejsza liczba festiwalowych pracowników.

Biuro Prasowe (działające mało prężnie, nie posiadające reklamy zdjęciowej i połączenia międzymiastowego w jednym telefonie), biuro akredytacyjne (sprawna, miła obsługa), biuro transportu (samochody kursowały dość często, ale nie na wszystkich trasach i nie dla wszystkich gości), biuro PAGARTU (jakby obok festiwalu).

Na dole, w hallu, na wygodnych kanapach-fotelach toczyły się międzynarodowe rozmowy na wszystkich szczeblach, trwały targi i przetargi kto komu kogo i za ile. Można tam było zobaczyć tych wszystkich, którzy liczą się w rozrywkowej branży i tych, którzy starają się w niej zaistnieć. Rozmowy toczyły się we wszystkich językach świata, odpowiedni nastroje tworzyły najnowsze teledyski video prezentowane na 27 kolorowych telewizorach umieszczonych naprzeciwko wind, które jak oszalałe wozły gości w górę i w dół. Goście nie kupowali kolorowych tygodników w hotelowym kiosku, za to o codzienne gazety Wybrzeża relacjonujące koncerty festiwalowe było trudno. W restauracji serwowano wspaniałe śniadania, wielodaniowe obiady i zakrapiane kolacje. W kawiarni raczono się drinkami i cocktailami. Rozmawiano, rozmawiano... Kreation pań i panów były mniej lub bardziej wymyślne, ale za to najmodniejsze, bardzo kolorowe. Fryzury stojące, sterzące, lakierowane i moczone. Spóznienia, uśmiechy znajomych i nieznanymi, wszyscy mieli swoje wizytówki na piersiach, dla nieoznakowanych „Marina” była niedostępną twierdzą.

III. A W DOMU STUDENTA NR VII W SOPOCIE...

gdzie ulokowano dziennikarzy i obserwatorów, zapewniając im „natchmiastowa” łączność telefoniczną i teleksowa — proza życia, a nie kolorowa bajka za dolary.

W pokoju powitał mnie gigantyczny, zielony pajak, z którym stoczyłem krwawą walkę. Kiedy odpoczywałem pełen triumfu na minikozetce zaatakowała mnie pluskwa. W telecentrum telefony były nieczynne, zamawianie rozmów tylko na „R”, czyli rachunek osoby do której się telefonowało, teleks zanikł, nie mogłem nadać pierwszej korespondencji, bo telegrafistka przybyła do pracy z dwugodzinnym opóźnieniem. Czekać na otwarcie telecentrum, wyczytałem na plakietce-wizytówce, że nie mam prawa wchodzić za kulisę podczas trwania prób i koncertów, mam zajmować miejsca na próbach w oznaczonych sektorach i nie mogę odstępować swojej karty innym osobom, bo wtedy... Ale kiedy wszedłem na teren Opery Leśnej, zapomniałem o wszystkim co szare i smutne, bowiem zostałem na przyłoczony urodą i kompozycjami wymyślonych kwiatów (colours) w kiombach, celosje, szkarłatnie begonie, trawiste dywany przycinane lub sztukowane). Wszystko w naturalnej scenarii lasu, z rewizyjnymi schodami z odbłaskami, mrugającymi światłami.

BOHDAN GADOMSKI

Sopockie bajanie

Trafiałem na próbę czwórki włoskich wokalistów z grupy „Milk and Coffee”, którzy na próbie potrafili stworzyć miłą, luźną atmosferę i zebrać oklaski Jerzy Gruz robił w tym dniu nieustanne zmiany w kolejności występowania piosenkarzy do ostatniej chwili. Przebywając na próbach zawsze staram się podpatrzeć tych, którzy reżyserują koncerty i jakoś nie mogę się dopatrzeć reżyserii. Zamyka się ona na ustaleniach kolejności i miejsc, z których wykonawcy mają wejść lub wyjść.

IV. PIERWSZA KONFERENCJA PRASOWA...

miała charakter organizacyjno-techniczny i należała do rzeczniaka prasowego festiwalu Janusza Atlasa, jednej z najciekawszych i najbardziej dynamicznych osobowości dziennikarskich. Zapis rozmów dziennikarzy z Januszem Atlasem to osobny rozdział do profestiwalowej relacji. Atlas, walcząc o prestiż nagrody dziennikarzy, tłumaczył jak należy głosować i jak w ogóle traktować tę nagrodę. Nie wszystkim się to podobało i zaczęli przypominać koleżde po piórze, że przecież i jego suka Jamniczka Felicia była kandydatką do tej nagrody. Ale najbardziej interesowało dziennikarzy, jakie honorarium otrzyma Janusz Atlas za swoją funkcję rzeczniaka prasowego.

— 17300 złotych (po potrąceniu podatku z 20000 tysięcy złotych) brzmiała odpowiedź. Z czego sam muszę się w Sopocie utrzymać? — dodał rzecznik.

Zaspokoczył swoją ciekawość dziennikarce zaczęli interesować się kosztami festiwalu, zadając pytania z czego się Sopot utrzymuje?

— PAGART dał 7 mln, pokrywając również koszty zakupu gwiazd zagranicznych (sama Bonnie Tyler kosztowała 6 mln). Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe dały 7 mln (pokrywając koszty związane z Orkiestrą Alex Band, bez 22 skrzypce specjalnie wybranych i zaangażowanych na czas festiwalu). Polskie Radio i TV dały 15 mln. Ministerstwo Kultury i Sztuki dało 16,5 mln. Festiwal był dotowany przez różne, zasobne instytucje w zamian za ich udział w festiwalu w bardzo różnych postaciach. Konkursowi wykonawcy otrzymali za swoje występy po 10 tysięcy złotych (kieszonkowe), członkowie zespołów po 7 tysięcy. Z zastrzeżeniem, że nie mogą zabrać ze sobą za granicę polskich pieniędzy.

V. A WIECZOREM PIERWSZY KONCERT KONKURSOWY...

na sopockiej estradzie pojawiły się znajoma twarze z festiwalowego programu, które w większości można było rozpoznać.

Prezenterzy: Grażyna Torbielka i Tomasz Raczek udają luz, swobodę bycia, naturalność, Torbielka (córka Loski) rozsyła swoje najpiękniejsze uśmiechy (znane doskonale z II programu TVP). Raczek stara się pogłębić intelektualnie konferansjerkę, której jest współautorem, Niedźwiecki skupia się wyłącznie na prezentacji piosenkarzy.

VI. SPOTKANIE Z BONNIE TYLER...

odbyło się w minisalle Hotelu „Posejdon”, w którym ulokowano gwiazdy tegorocznego festiwalu. Przed przyjęciem gwiazdy, dyrektor PAGART-u Włodzimierz Sandecki, tłumaczył się, że Pagart chciał sprawdzić do Sopotu największe gwiazdy (z Barbrą Streisand na czele) ale... wymagania, stawki, terminy. Bonnie Tyler jest osobą bardzo miłą, pełną humoru, dowcipną. Ma nastrożone blond włosy, których uczesanie zajmuje jej fryzjerze pół godziny, ale świetnie korespondują z urodą i temperamentem gwiazdy. Podobno Tyler ma koszmarny gust i fatalnie się ubiera, ale tym razem wszystko było w porządku (czerni i biel).

O festiwalu w Sopocie nigdy nie słyszała, jest to drugi festiwal w jej życiu, na Festiwalu Yamaha w Tokio zgłosiła się sama i wygrała. „Sopot-86” „przegrała” z różnymi, dość zasadniczymi powodami: zła synchronizacja podkładu muzycznego z wokalem, brak kontaktu z publicznością, monotony repertuar... Sześć milionów złotych za pół godziny na sopockiej estradzie, za występ, który nikogo nie zainteresował, a samą gwiazdę doprowadził do głębokiej frustracji.

Rockowe gwiazdy rzadko sprawdzają się na sopockiej estradzie, tu na sopockim festiwalu królują piosenkarze pop i nie tylko u nas. Półplayback zawsze stawia barierę między gwiazdą a publicznością.

VII. SPOTKANIE Z KARELEM GOTTEM...

Kiedy wszyscy rozczarowali się występem Bonnie Tyler, PAGART zaczął natychmiast reklamować jako supergwiazdę „Sopotu-86” Karela Gotta, który w Sopocie zachowywał się tak jak gdyby wszedł za kulisę wprost z windy i skromnie stanął w bufecie dla wykonawców po szklankę herbaty. Zawsze uśmiechnięty, sympatyczny, bezpośredni, elegancki.

I tak jak za kulisami i na konferencji prasowej wydawał się bardzo zwyczajny i zupełnie nie gwiazdorski, tak sam powiedział, że musi dbać o swój image. Dlatego na konferencję spóźnił się 10 minut, bo... suszył włosy i nie mógł się zdecydować na wybór garnituru.

Nie mówi po polsku, ale rozumie co się mówi do niego w tym języku. Jest świetnie przygotowany do odpowiedzi nawet na najbardziej kłopotliwe pytania.



Anabell Lopez Foto: Stanisław Składanowski

Recital Karela Gotta rozczarował mnie. Od gwiazdora nr 1 wschodnioeuropejskiej piosenki oczekiwałem perfekcyjnie zrobionego show i takiejżo wykonania. Tymczasem zobaczyłem wiele prywatności i przypadkowości, także w doborze repertuaru na tak masowy i poważny występ na żywo i w telewizji.

Głos wciąż młodego 50-lata jest młody i świeży, a przecież śpiewa od 25 lat bardzo, bardzo dużo. Jak powiedział — zna receptę na utrzymanie się wciąż w pełnej kondycji wokalne, ale jej nie zdradzi. Zamierza jeszcze długo, długo śpiewać.

VIII. SPOTKANIE Z „BAD BOYS BLUE”...

było ostatnią konferencją prasową akredytowanych dziennikarzy z gwiazdą „Sopotu-86”. „Bad Boy's Blue” uratowali w Sopocie honor zagranicznych gwiazd, choć i oni nie byli tą gwiazdą na którą czekaliśmy, która nadawała by festiwalowi odpowiednią rangę, wzbudzała posmak emocji i sensacji. I tu wiele osób wspominało wielką Shirley Bassey, która taką supergwiazdą „Sopotu-86” była i której menadżer doskonale zna obowiązujące reguły gry.

IX. SOPOT-86 BEZ GWIAZD...

ale za to z mocną grupą świetnie zapowiadających się młodych piosenkarzy, do których na pewno zalicza się Mary Getz, mało znana w USA, stawiająca tam pierwsze, coraz większe kroki.

Wszyscy byliśmy świadkami rzadko spotykanej na festiwalach sytuacji, gdy bledną gwiazdy, a blyszczą nieznaną szerszej (polskiej), publiczności wykonawcy z konkursów. I dlatego tak dużo miejsca poświęciliśmy w swojej relacji właśnie tej grupie wykonawców.

Mówi Aleksander Maliszewski (kierownik muzyczny festiwalu):

— „Jak pamiętam nie było festiwalu o tak wyrównanym i wysokim poziomie. Konkurs obronił się na tyle, że „gwiazdy” były nieporęczne. Uważam, że na całym festiwalu wystarczy jedna gwiazda, ale taka jak: Shirley Bassey, Elton John, Diana Ross czy Whitney Huston”.

Mówi Jerzy Gruz (reżyser festiwalu): — „Zawyżona poprzeczka i dokładna selekcja wstępna wyeliminowała udział wykonawców, którzy mogliby obniżyć poziom. Wraz z Wojciechem Trzcinańskim (dyrektorem artystycznym festiwalu) mieliśmy głębokie postanowienie zrezygnować z piosenkarzy, którzy nie dorównują swymi umiejętnościami postawionym wymaganiom. Moim ideałem jest festiwal sopocki bez gwiazd (chyba, że byłaby to autentyczna, wspaniała gwiazda typu Shirley Bassey). Tutaj główną atrakcją powinien być konkurs a nie dodatkowe występy. Najistotniejsza jest prze-

cież rywalizacja, walka o nagrodę, konkurencja. Przeniesienie gwiazd i ich roli jest złym zjawiskiem.

X. NAGRODA DZIENNIKARZY...

jej wyborom towarzyszyła bardzo nerwowa, napięta atmosfera. Późno, bo w ostatnim dniu wybrano dziesięciu dziennikarzy, którym została red. Krystyna Gucewicz z „Expressu Wschodniego”, która w Opolu dała wniosek o nieprzynależności nagrody dziennikarzy, a w Sopocie z latwością przeforsowała wraz z kolegami i fotoreporterami nagrodę dla Michała Bajora, co nie wszystkim się podobało („przelansowany”, „poza konkursem”, „zimny”, „wymyślony”).

XI. GENERALNA KONFERENCJA PRASOWA...

Zawsze jest jedną z najciekawszych imprez towarzyszących na festiwalach. Niekiedy jej zapis może być świetnym materiałem prasowym zamiast recenzji, sprawozdania lub reportażu. Na ostatnią konferencję prasową przybyli w komplecie organizatorzy, realizatorzy, zdobywczy dwójki, głównych nagród i... dziennikarze. Przewodnicząca Komitetu Organizacyjnego Wiktorja Kusińska uprzejmie powitała zebranych i powiadomiła, że zebraliśmy się aby dokonać analizy artystycznej imprezy, a nie zajmować się sprawami biznesu. Wykonawcy to podmiot, a hasło festiwalu: „Promocje”.

Pytają dziennikarce: — Jak był wpływ pana Wojciecha Trzcinańskiego na dobór wykonawców?

— Zgłosił się (mówi Wojciech Trzcinański) 200 firm, 100 wykonawców. Postawiłem na jakości konkursu, a więc wnikliwy dobór piosenkarzy, poprzez ostrą selekcję. Wspólnie z Jerzym Gruzą zdecydowaliśmy o doborze repertuaru polskiego dla zagranicznych piosenkarzy. O wyborze Michała Bajora i Edyty Geppert, jako polskich gwiazd na sopocki festiwal zdecydował ich poziom artystyczny.

— Jak prześliznął się do konkursu standard Japończyk?

— Między Warszawą a Tokio jest wielka odległość, Japończyk w ostatniej chwili przywiózł swoje partytury. Trudno wykluczyć piosenkę z tak dalekiego kraju. Drugi utwor — standard nie był brany pod uwagę przez jury.

— Czy festiwal będzie retransmitowany przez Interwizję?

— Niektóre państwa zamawiają pełną wersję, którą emitują w stosownym dla siebie terminie, inne chcą go mieć w skróconej wersji. Jeszcze inne wymieniają materiały z Sopotu na programy rozrywkowe.

— Kto napisał tekst dla konferansjerów?

— Sami pisali.

— Czy stronie polskiej udało się nawiązać nowe kontrakty?

— Do Sopotu przyjechało wielu szefów różnych agencji, menadżerów, impresariów, z całego świata. Wszyscy byli zadowoleni i podkreślali wysoki poziom festiwalu.

— Jak festiwal wykorzysta szanse promocyjne dla polskich piosenkarzy?

— Wszyscy fachowcy dostrzegli talenty Edyty Geppert i Michała Bajora, mówiąc, że wspaniale reprezentowali poza konkursem nasz kraj.

— Kto z polskich piosenkarzy kandydował do udziału w konkursach?

— Joanna Zagdańska i Andrzej Zaucha.

XII. BYŁO MIŁO, RADOŚNIE, KOLOROWO...

choć padał deszcz i wiał chłód od morza. Wszyscy się cieszyli, bawili się na cocktailach, dyskotekach, seansach video do białego rana. Wszyscy podkreślali wysoki poziom tego festiwalu, dobrą organizację. My w tej baśniowej opowieści dotarliśmy na ostatnią stronę kolorowego programu.

Polish Artists Agency Pagart, jej promocja, opeka, reklama.

Dla Danuty Błażczyk i Beaty Koziak nie przygotowano prawie żadnych materiałów reklamowych w odpowiednich ilościach. Jeżeli wschodząca gwiazda polskiej piosenki własnoręcznie pisze na karteczce swój życiorys, który powieła się w ostatniej chwili na kolanie i rozdała zdumionym gościom zagranicznym, to czy można tu mówić o jakimkolwiek promowaniu? W tym względzie nie się u nas nie zmieniło.

Nieprawdą jest, że gwiazdy zagraniczne były zakontraktowane z wielkim wyprzedzeniem, bo np. Bonnie Tyler została zaproszona w lipcu, dlatego jej menadżer nie zdążył przygotować żadnych materiałów reklamowych (zdjęcia, slajdy, videoclip itp.), a polskich piosenek zagraniczni wykonawcy uczyli się w ostatniej chwili, często dopiero po przyjeździe do Sopotu. Na próbach widać było kartki z tekstami. A kiedy chcieli otrzymać partyturę jakiegoś utworu do opracowania u siebie — nie było. Co właściwie daje najlepszym piosenkarzom zagranicznym udział w polskim festiwalu piosenki?

Na to pytanie szukałem odpowiedzi nie na konferencji prasowej z udziałem organizatorów, lecz u samych zainteresowanych, w ich apartamentach, w wywiadach.

Skulona w kącie łóżka Anabella Lopez z Kuby z drżeniem serca oczekiwała wyników, zwracając mi się, że porażka będzie dla niej straszna. Jeżeli dostanie nagrodę, udział w festiwalu wpisze do swojego folderu biograficznego, który zabiera na kolejne festiwale.

Nikt z piosenkarzy zagranicznych nie wspominał (poza Vicki Benckert i jej producentem Jerzym Grunwaldem) o wejściu na polski rynek, ich popularność trwa u nas przeważnie jeden miesiąc, rzadko do następnego festiwalu. Kończy się sopocka bajka, gasną kolorowe światła przy festiwalowych schodach, znikają kwiaty i ekrany telebimów. Opustoszają luksusowe hotele „Marina”, „Posejdon”, „Gdynia”, Domu Studenta...

Zaczęły się przygotowania do XXIV Międzynarodowego Festiwalu Piosenki „Sopot-87”.

Polemiki • Listy • Opinie

DONOSZĘ Z „PIEKŁA”

Piszę ten list po powrocie z wakacji. Spędziłem je bardzo ciekawie, dużo się nauczyłem, dużo zobaczyłem i dużo zrozumiałem. Wakacje spędziłem w Piekle. Co to jest piekło? Kogokolwiek zapytałem, co to jest, wszyscy odpowiadali mi — „tam pojedziemy po śmierci za nasze grzechy”. Po śmierci. A za życia? Czy nasze przypadkiem nie jest piekłem, które stwarzają sobie sami?!

Oto np. mapa województwa skierniewickiego. Swoją drogą — na mój gust miastem wojewódzkim powinien tu być Łowicz, bo to i przemysł i książeczko-królewskie konseksje — no, w najgorszym wypadku powinna być siedziba województwa Rawa Mazowiecka — też przemysł, ale konseksje już tylko książeczko — no i co? Wystarczył jeden Instytut Sadownictwa — jeden prof. Pieniążek i Skierniewice stały się Metropolią Wojewódzką. Na obszarze tego „nowotworu wojewódzkiego” jest dużo bardzo ciekawych miasteczek, które są piekłem dla żyjących tam ludzi.

Taki na przykład JEŻÓW — bo to o nim będzie ten list. Położony między Brzezunami a Rawą Mazowiecką. Z dawna z prawami miejskimi (ostatnio obchodził 850-lecie), które utracił i teraz „staje na głowie” aby je odzyskać. 75 proc. dorosłych zatrudnionych jest poza miasteczkiem — w Rawie Mazowieckiej, Brzezynach, Łodzi, Skierniewicach, Rogowie itp. Reszta pracuje na miejscu. Samo miasteczko (wieś? osada?) położone jest malowniczo i nawet bardzo ładnie. Jeźów ma patriotyczną przeszłość — jest tu cmentarz (bardzo zadbane), na którym pochowani są polscy żołnierze, którzy zginęli w bitwie 6 września 1939 r. Każdego roku 6 września na cmentarzu i w kościele odbywa się tu ogromna uroczystość państwowo-kościelna.

Dlatego to, co napisałem ma być wołaniem z „piekła”? Oto dlatego, że dla mieszkańców Jeżowa, to miasteczko jest samo w sobie piekłem. Niech ktoś przez przypadek kichnie na jednym kościele — to na drugim przecz mu już wszystkie... najgorszego.

Niech jedna z mieszkanek wsadzi do garnka kurę — na drugim końcu już wiedzą, że na obiad będzie rosół. Tak jak w każdej małej miejscinie w myśl zasady „wiedzą sąsiedzi na czym sąsiedzi siedzi”.

Handlem w Jeżowie zawiaduje GS. Wybudował sobie nawet pawilon. Duży, ładny i o dziwo nawet funkcjonalny. Na parterze sklep spożywczy, mięsny, radiowo-tele-meblowy, na I piętrze biura i kawiarenka. Drugi sklep zlokalizowany jest na tym ul. Piotrkowskiej w samym centrum Jeżowa. Rzeczy w tym sklepie dzierżą w swych dłoniach dwie starsze już wiekiem panie, które wyprawiają z klientami bardzo, ale to bardzo dziwne rzeczy. Nie kupisz w sklepie mleka, jak nie masz butelki nie dostaniesz 10 kudo pokrojonego w plasterki złotego sera, oo ser jest miękki i trudno go pokroić, jak w tym sklepie nie usłyszysz. Kiedy pojawia się na horyzoncie sklepu znajoma pani sprzedawczyni — oczywiście załatwiona jest bez jakiegokolwiek i nawet nikt nie ośmieli się protestować — o! po prostu panie sprzedawczynie „wychowały” sobie klientów.

Obok niedaleko na ul. Łowickiej jest restauracja. Trudno nazwać ten lokal restauracją, a moim zdaniem — to jest to zwyczajna „rozchlewnia” okolicy, otwierana tylko po to, aby sprzedać nieokreśloną ilość alkoholu. Kiedy chciałem zjeść tam obiad i nie poprosiłem o „kielonek”, spojrzano na mnie ze zgorzgniętym i zdumieniem. Jedzenia w miarę smaczniejszego i w miarę taniego proszę się tam nie spodziewać. Nie bardzo wiem, po co wszyscy behają się do tej (jak ją w Jeżowie nazywają) „mordowni”, bo na ul. Łowickiej w każdym prawie domu sprzedają Ci wódkę nawet o 1.00 w nocy, ale po odpowiednio „delikatosewej” cenie.

Czy w Jeżowie są ciekawostki? Sa. Taką najbardziej interesującą ciekawostką — takim kuriozosem — jest dom przy ul. Łowickiej 11, 12, 13, 14. Jest to jeden jedyny na cały Jeźów dom pod zarządem Urzędu Gminy. Tym domem administruje Gmina i pan Naczelnik. (Reszta domów to własność prywatna). Mieszkańcy tego domu mają tak utrudnione życie, że nie życzą najgorszemu wrogowi takiej lokalizacji mieszkania.

Otoż na podwórku tej posesji postawiono przed paroma laty — kiedy to jeszcze w Polsce był boom budowlany i o kryzysie nikt nie słyszał — kilka pomieszczeń (z prawdziwej cegły!!!). Miały one służyć jako komórki dla mieszkańców, no i jako WC. Oczywiście później tę — teraz tak „ślicznie pachnącą” — inwestycję wstrzymano, no i mamy taki oto obrazek: są to ściany zewnętrzne nie zadane, z ustawionymi wewnątrz ustępami. Oczywiście lokatorzy, którzy od dawna już nie mogą korzystać ze starej ubikacji (mieszczącej się w starej, rozwalającej się szopie), bo załatwienie się tam grozi po prostu wpadnięciem w fekalia — w pogodnie dni i noce załatwiali swoje „cywilno-prywatno-obywatelskie” potrzeby pod niebem swym gwiazdami. Romantyczne — czyż nie? Tylko że ten romantyzm w okresie wiosenno-letnim wychodzi mieszkańcom bokiem, bowiem fekalia z tej „nowej” ubikacji powodują niesamowity smród. Okna (w mieszkaniach zlokalizowanych od podwórka) powoduje smród w mieszkaniu i wpadnięcie całej baterii much. Sprawa ta do tej pory nikt nie jakoś nie załatwił.

Powinna Gmina. To logiczne. Ale po co? Gmina ma ważniejsze sprawy niż fakt, że to właśnie jej podopiecznym śmierdzi pod nosem. W Gminie mówią — na przesyłany rok. Ale mówią już od 5 lat.

W tak małej miejscinie, jak Jeźów, Gmina powinna przede wszystkim zadbać o młodzież, aby jej jedyną rozrywką nie było stanie na rogu ulic Piotrkowskiej i Łowickiej i wizyta w „Mordowni”. W gmachu Gminy wybudowano salę, która miała służyć jako klub młodzieżowy. Jest naprawdę bardzo piękna. Niestety na rozkaz Gminy zamknięto salę na kilka spustów — a — jak mówili mi chłopcy w Jeżowie, pan Naczelnik obawia się, że „ta sala to jest na pokaz jak ktoś do nas przyjdzie”. No i nikt z niej nie korzysta. Tak więc życie społeczno-kulturalnego w Jeżowie nie ma.

Jest duża sala widowiskowa (własność Straży Pożarnej), ale co sobota odbywają się tam weseliska. Jest jeszcze kawiarenka w pawilonie, nawet z telewizorem i to kolorowym, ale jedyna nie zastąpi pracy klubu lub domu kultury. Dziwne to wszystko, bo przecież przy pomocy Gminy, Straży Pożarnej i GS można by tu było stworzyć Dom Kultury z prawdziwego zdarzenia. Taki żeby młodzież — której w Jeżowie jest dużo — miała co robić z sobą w nudne popołudnia i wieczory.

Nauczyciele i szkoła choćby nie wiem co wyczyniała nie potrafią zapłacić luk w postaci braku domu kultury. Nie ma tu stałego kina. A było! Mieściło się w sali Straży Pożarnej. Teraz nie ma. Nikt nie umiał mi odpowiedzieć dlaczego.

Niedawno Jeźów obchodził swoje 850-lecie. Miasteczko wyprzedniało w oczach. Pomalowano fasady domów, wyczyszczono ulice, wymieciono place, ukwiecono miasto — jednym słowem zrobiono to co zawsze. Zastosowano wobec gości małe osobstwo — zastosowano zewnętrzny blichtr — zewnętrzna ozdobę — bo spracje na Łowickiej jak śmierdzący tak śmierdzą.

W piekle śmierdzi, smród, a na czym śmierdzi w Jeżowie — no to już wiecie. Przyjeździe — zobaczą — obejrzą i powąchają. Miłego wypoczynku i urlopu w Jeżowie.

JERZY JAN BANASIŃSKI

„LEKCJA OBYWATELSKIEGO”

Wygląda na to, że opisując klimat panujący na koloniach letnich w Przedborzu dotknąłem jedynie wierzchołka góry lodowej. W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak tylko życzyć dzieciom udanych wakacji w domu, gdzie nie będą musieli wychowywać „nieco niemiłej atmosfery” zalatującej od swych pedagogów.

„Lekcja obywatelskiego” celowo „zstała opublikowana w „Odgłosach”, nie zaś w „Misiu” czy „Szwierszczyku”, dlatego sądzę, by dorosłych czytelników gorzej było użyte w niej słownictwo, które notabene jest zaledwie skromnym wyborem ze „skarbnicy” jakże bogatej w mięso określeń, gęsto miotanych przez tzw. wychowawców młodzieży pierwszego turnusu rzeczonych kolonii.

ROMAN KUBIAK

DLA AMATORÓW FOTOGRAFII

Świdnicki Ośrodek Kultury w Świdnicy organizuje w dniach 12-14 września 1986 r. IV DNI FOTOGRAFII — ŚWIDNICA '86.

W ramach imprezy odbędzie się:

- IV OGÓLNOPOLSKA GIEŁDA TOWARZYSTW I KLUBÓW FOTOGRAFICZNYCH, w której uczestniczyć będzie kilkadziesiąt stowarzyszeń fotograficznych z całego kraju. Będzie one prezentować swój dorobek twórczy w witrach sklepowych w Ryнку oraz organizować akcje i działania fotograficzne w plenerze. Najciekawsza prezentacja zostanie nagrodzona GRAND PRIX IV DNI FOTOGRAFII — ŚWIDNICA '86 — „SREBRNYM GRYFEM ŚWIDNICY”.
- W klubie Świdnickiego Ośrodka Kultury „Piwnica Imzurowa” odbędzie się będą spotkania autorskie i wykłady, w których wezmą udział wybitni przedstawiciele polskiej fotografii m.in. EDWARD HARTWIG, KAZIMIERZ HELEBRANDT, ANDRZEJ KRYNICKI, JERZY LEWCZYŃSKI, PAWEŁ PIERSCINSKI, ZOFIA RYDET i inni.

12 września o godz. 17.00 w Galerii Fotografii w Świdnicy, Rynek 44 odbędzie się wernisaż wystawy EDWARDA HARTWIGA — FOTOGRAFIE, w Muzeum Dawnego Kupiectwa otwarta zostanie poplenerowa wystawa — „Świdnica '85”.

14 września od godz. 9.00 na Świdnickim Ryнку odbędzie się będzie IV OGÓLNOPOLSKI JARMARK SPRZĘTU, MATERIAŁÓW I WYDAWNICTW FOTOGRAFICZNYCH.

Od 11 września czynny będzie w Ryнку SALON SPRZEDAŻY FOTOGRAFÓW, w którym będzie można nabywać fotografie o różnorodnej tematyce i wysokich walorach artystycznych.

Organizatorzy IV DNI FOTOGRAFII — ŚWIDNICA '86 serdecznie zapraszają Towarzystwa i Kluby Fotograficzne oraz wszystkich miłośników fotografii do udziału w imprezie.

Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela BIURO IMPREZY — Świdnicki Ośrodek Kultury, Rynek 43, 58-100 ŚWIDNICA, tel. 213-37.

CZY BĘDZIEMY JEŚĆ KRYLA?

Dziesięć lat temu Polska Akademia Nauk i Morski Instytut Rybacki przeprowadziły pierwszą polską ekspedycję naukową na wodach Antarktyki na statkach „Profesor Siedlecki” i „Tazar” co zapoczątkowało polskie badania nad zasobami i możliwościami wykorzystania kryla na produkty spożywcze, paszowe i techniczne. Podobnie jak wcześniej w innych krajach, w Polsce w początkowym okresie wyrażano optymistyczne poglądy odnośnie stosunkowo szybkiego wykorzystania kryla w gospodarce narodowej. Znalazło to swój wyraz w postaci rządowego programu badawczego, w którym uczestniczyło wiele instytutów naukowo-badawczych.

Krył to spójczona nazwa pokarmu spotykanego w żołądkach wielorybów. Obecnie nazwa ta uhaodnia się do dominującego w wodach Antarktyki rączka „Euphausia superba Dana” podobnego wyglądem do krewetki, lecz kilkakrotnie od niej mniejszego. Specjalnie wielu krajów oraz FAO wyrażili poglądy, że jego ograniczenie woli stanowią potencjalne źródła białka dla stała rosnącej liczby ludności świata. Statystyki FAO od blisko dziesięciu lat wykazują polowanie kryla przez niektóre kraje. W tym okresie polskie statki polowały kryla eksperymentalnie, najczęściej przy okazji polowań ryb antarktycznych.

Produkty z kryla, ostatnio również konserwy wyprodukowane z odskorupionego mięsa kryla są wytwarzane i sprzedawane w wielu krajach. Jednak większość połowów pozostaje wciąż stosunkowo niezamieniona, a ich dynamika uległa w ostatnich trzech latach nielowemu.

Wśród zainteresowanych kryłem 20 krajów o różnych systemach politycznych znajduje się również Polska prowadząc wielokierunkowe badania obejmujące poznanie środowiska życia kryla, ocenę jego zasobów, techniki połowów i przetwórstwa.

Podczas przeprowadzonych dotychczas sześciu polskich ekspedycji antarktycznych badania koncentrowały się na rozmieszczeniu zasobów połowowych kryla oraz oddziaływaniu prądów powierzchniowych. Wynikami badań tych było wyjaśnienie niektórych czynników wywołujących skupianie się kryla, uzyskano też szereg informacji o rozrodzie i cyklu życiowym tego skorupiaka. Pozwoliło to na opracowanie i zarysowanie norm i kryteriów oceny biologicznej.

Produkcja przetworzonych mas mięsnych to jeden z możliwych kierunków przetwarzania dużych ilości kryla przy przemysłowych połowach tego surowca. Na przeszłość temu stoją jednak trudności w odskorupianiu mięsa kryla. W powłoce pancerzowej występują bowiem duże ilości fluoru niebezpiecznego dla zdrowia i życia człowieka. Dotychczas znane są trzy metody odskorupiania kryla: cierna, flotacyjna i rolkowo-szczelinowa. Ta ostatnia ma szczególne szanse powodzenia.

Mięso kryla odskorupione metodą rolkową pod względem smaku i zapachu oraz cech fizykochemicznych i właściwości technologicznych jest jak dotąd najlepszym produktem spożywczym uzyskanym z kryla. Jest ono podobne do mięsa krewetek. Zawiera bardzo małe pozostałości pancerzy (poniżej 0,1 proc.) a w wyniku tego stosunkowo mało fluoru (8-13 mg/kg) i pod tym względem spełnia wymagania określone przez żywieniowców. W Polsce zakończono w 1985 r. z wynikiem pozytywnym — szerokie badania nad dopuszczeniem mięsa z kryla uzyskanego metodą rolkowo-szczelinową do celów spożywczych.

W wyniku tych badań ustalono, że odskorupione mięso krylowe może być wykorzystywane podobnie jak mięso krewetek do wytwarzania różnego rodzaju produktów spożywczych — dań garmażeryjnych i potraw. Wstępne próby wykazały też, że jest to surowiec przydatny do wytwarzania dobrej jakości konserw. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że metody, którymi próbowano odskorupiać kryla w latach siedemdziesiątych powodowały, że otrzymywano koagulat zawierał 0,4-0,7 proc. pancerza, to obecna metoda rolkowo-szczelinowa — 0,1 proc. pozostałości pancerza — daje duże nadzieje na możliwości wykorzystania go do spożycia.

W latach siedemdziesiątych główny kierunek badań nad kryłem to cele paszowe. Uważano bowiem, że jeśli uzyskamy doskonałe białko w postaci mączki krylowej, to rozwiążemy wtedy nasze trudności w paszach wysokobiałkowych. Jednak otrzymana mączka zawierała zbyt duże ilości fluoru.

W ostatnich latach w Polsce opracowano oryginalną w skali światowej metodę uzyskiwania chityny i chitozanu. Polimery te mają szanse wielu wdrożeń w różnych gałęziach gospodarki narodowej. W trakcie przerobu pancerzy uzyskuje się też olej krylowy o dużej zawartości karotenoidów mający zastosowanie w przemyśle kosmetycznym.

Obecnie istnieje więc szereg przesłanek, aby bardziej realistycznie niż dotychczas wskazywać na możliwości wykorzystania kryla zarówno na cele paszowe, jak i spożywcze. W wyniku wspólnych prac Morskiego Instytutu Rybackiego i PPDRIUR „Dalmor” w ostatnim roku opracowano kolejny model eksploatacji zasobów kryla. Przewiduje się bowiem przemienne połowy kryla i ryb lub kalmarów, co wydaje się być najkorzystniejsze ze względów ekonomicznych i technicznych. Bowiem polowanie tylko samego kryla powodowało niezwykle wysokie koszty połowów.

MARIAN JEDRZEJCZAK

OCHRONA ŚRODOWISKA NA CENZUROWANYM

Stan środowiska naturalnego w ujęciu dynamicznym można określić jako proces postępującej degradacji — mówił poseł Kazimierz Paszek podczas majowego posiedzenia sejmowej Komisji Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych. — Ustawa z 1980 roku uruchomiła w miarę skuteczne mechanizmy zapobiegające tej degradacji, ale są one słabsze od wywołujących degradację procesów gospodarczych. Te ostatnie są również silniejsze niż efekty edukacji społeczeństwa, która powinna eliminować bezmyślność. Z dostępnych informacji wynika, że środki materialne, zdolności organizacyjne i metodyczne nie zapewniają w najbliższym czasie wstrzymania negatywnych procesów degradacji środowiska. Możliwości w tej dziedzinie nie są w pełni skutecznie wykorzystane. Różnica między tym co się robi, a tym co można byłoby zrobić dostępnymi środkami jest marnotrawstwem, a dobitnie można ją określić mianem patologii.

Prof. Kazimierz Zimny, prezes ZG Ligi Ochrony Przyrody dodał: — Poważny niepokój budzi pogarszanie się środowiska, jest to proces pogłębiający się, nie widać przesłanek, by formułować inne opinie w tym względzie.

Również krytyczne opinie były ostatnio formułowane podczas posiedzenia Komisji KC PZPR i spotkań wyborców z podziałem. Niepokój potwierdzają najnowsze badania i oceny Państwowej Inspekcji Sanitarnej, Państwowej Inspekcji Ochrony Środowiska oraz Najwyższej Izby Kontroli.

NIK zajęła się ostatnio realizacją inwestycji ochrony środowiska oraz wykorzystania funduszy celowych (tj. funduszu ochrony środowiska i funduszu gospodarki wodnej). Z danych Ministerstwa Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych wynika, że w 1984 r. jak i w 1985 roku nie wykonano planu nakładów na inwestycje. Pierwsze zestawienia propozycji planów opracowywane przez Resort, których podstawą są projekty planów województw i przedsiębiorstw, są większe od projektów przedkładanych Komisji Planowania i przyjmowanych do założeń centralnych planów rocznych. Na przykład według projektów województw plan nakładów roku 1984 powinien wynieść ponad 50 mld zł, przyjęto 44,6 mld zł, ale wykonanie wyniosło zaledwie 34,4 mld zł. Podobnie było w 1985 r., jeszcze gorzej wyglądało to w 1986 roku. Już nawet pierwsze projekty — w kolejnych fazach planowania i wykonawstwa zmniejszane — nie odzwierciedlają rzeczywistych potrzeb. Ich pierwsza selekcja dokonuje się bowiem w przedsiębiorstwach, które ze względu na finansowe, sprzętowo-wykonawcze lub materiałowe — nie podejmują wszystkich niezbędnych zadań. Także mimo upływu 5 lat od wejścia w życie ustawy nie określono — co było jej wymogiem — wielkości dozwolonej emisji zanieczyszczeń odprowadzanych w ściekach bądź wielkości te określono na takim poziomie, którego nie będzie trudno przekroczyć.

Takim przykładem są Zakłady Rafinerii i Petrochemiczne w Płocku, które do końca 1985 r. nie miały określonych warunków emisji zanieczyszczeń do atmosfery. W latach 1983-85 wyemitowały one 359 tys. ton zanieczyszczeń zawierających dwulfenek siarki, węglowodory, fenol, tlenki węgla i azotu oraz pyły zawierające metale ciężkie, przy czym — jak podkreśla znacząco NIK — te dane nie są w pełni wiarygodne, ponieważ na 211 emitorów, 208 nie wyposażono w niezbędny aparat kontrolno-pomiarowy, wskutek czego nie są wykonywane dwa razy w roku obowiązkowe pomiary.

Warunki odprowadzania ścieków są właśnie tak liberalne, że zakłady nie mają trudności z ich dotrzymaniem. Norma na ogólną ilość ścieków jest o 15 proc. większa od ilości odprowadzanej, w tym na zrzut fenoli o 57 proc. i produktów naftowych o 14 proc. W 1984 r. zakłady te odprowadziły do Wisły 29 mln m sześć ścieków zawierających 631 ton produktów naftowych, 3,938 ton zawiesiny i 12,1 ton fenolu. Podobna sytuacja istnieje w Zakładach Włókien Chemicznych „Elana” w Toruniu.

Praktycznie we wszystkich etapach procesu inwestycyjnego stwierdzono błędy. Niejednokrotnie dopiero po ujęciu zadań w planach była opracowywana dokumentacja projektowa, często też była ona niekompletna. W toku realizacji dokonanych zmian (np. samo opracowanie założeń techniczno-ekonomicznych budowy urządzeń i instalacji odpływających w Hucie im. Lenina w Krakowie — trwało 8 lat). Wobec dużych opóźnień w budowie dostarczane na inwestycje maszyny i urządzenia traciły gwarancje (w Podhalańskich Zakładach Przemysłu Owocowo-Warzywnego w Tymbarku w magazynach składowano urządzenia już nieprzydatne, ponieważ ze względu na przedłużenie się rozporządzenia budowy oczyszczalni ścieków zdezaktualizowała się dokumentacja a wraz z nią utraciły przydatność zakupione urządzenia).

Ponad 80 proc. inwestycji realizowano w warunkach niepewności dostaw materiałów, okresowych przerw w dostawach, konieczności wprowadzania zmian materiałów. Pojawiła się tendencja uzależniania przez wykonawców podjęcia się realizacji zadań od zapewnienia przez inwestora dostaw materiałów i surowców. Na wielu budowach stwierdzono wreszcie zwykłe niedbalstwo, nieporządek oraz niewłaściwe zabezpieczenie przed niszczeniem maszyn i urządzeń (ponad 1,000 ton konstrukcji elektrofiltrów składowanych w cementowni „Wiek” w Ogródzisku uległo skodorodaniu w granicach od 20 do 80 proc.).

Wiele to było winy Ministerstwa Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych, które nie interweniowało w przypadkach opóźniania się realizacji inwestycji ani nie badało ich przyczyn. Zadane też ze skontrolowanych ministerstw gospodarczych nie wywiązywały się w zakresie ochrony środowiska z obowiązków organu założycielskiego lub wynikających z rozporządzenia Rady Ministrów.

WACŁAW OPACKI

FREI BETTO: — Mam dwa pytania. Pierwsze: jak przebiegało spotkanie z biskupami północnoamerykańskimi tu, na Kubie, w styczniu tego roku? Drugie pytanie: jak układają się obecnie stosunki z Konferencją Episkopatu Kuby?

FIDEL CASTRO: — Uważam, że spotkanie z biskupami północnoamerykańskimi było dobre. Zaplanowali wizytę w naszym kraju, a my ułatwiliśmy im odwiedzenie różnych miejsc na wyspie: byli w Santiago de Cuba, brali udział w wielu imprezach przewidzianych w programie opracowanym przez biskupów kubańskich. W ramach tego programu jeden dzień przewidziano do dyspozycji rządu, to znaczy jeden dzień zarezerwowano na program przygotowany przez rząd. Ten dzień zaczął się bardzo wcześnie; biskupi zwiedzili wiele miejsc, w tym przykład historyczną część Hawany, którą się obecnie odnawia i którą UNESCO uznało za dziedzictwo ludzkości.

Następnie biskupi zwiedzili nowoczesny szpital zbudowany ostatnio w Hawanie. Później pojechali do szkoły zawodowej, znajdującej się pod Hawaną; liczącej 4500 uczniów. Potem pojechali obejrzeć nowy typ szkoły, należącej do najważniejszych osiągnięć Rewolucji w tej dziedzinie, a mianowicie escuela en el campo. Mamy kilkadziesiąt takich szkół, około 600, i biskupi odwiedzili jedną z najwcześniejszych zbudowanych. W ten sposób nawiązali szerokie kontakty z naszymi uczniami.

Po południu mieliśmy kilkogodzinne spotkanie. Nie zdążyliśmy jednak omówić wszystkich spraw, bo musieliśmy iść na małe przyjęcie, które wydał nam ich część i na które zaprosiliśmy również wszystkich biskupów kubańskich oraz kilka zakonnic prowadzących działalność społeczną. Poszliśmy więc na to przyjęcie, a potem kontynuowaliśmy rozmowy.

FREI BETTO: — Od jak dawna nie spotykał się pan wówczas z kubańskimi biskupami?

FIDEL CASTRO: — Ostatni raz miałem okazję zobaczyć się z kilkoma biskupami z okazji pobytu Jessie Jacksona na Kubie, na uroczystości dla uczczenia pamięci Martina Luthera Kinga, zorganizowanej przez Kościoły ewangeliczne, w czym wziął również udział Kościół katolicki. Jackson zaprosił mnie, abym wysłuchał jego przemówienia, które tam wygłosił. Mnie także poproszono o powiedzenie kilku słów, co uczyniłem z przyjemnością. Przy tej okazji przywitałem się z różnymi przywódcami kościelnymi, między innymi z obecnymi tam przedstawicielami Kościoła katolickiego.

Znałem już stanowisko amerykańskiego Kościoła katolickiego. Jest to cieszący się wielkim autorytetem episkopat, który — naszym zdaniem — zajął słusne i odważne stanowisko w wielu poważnych sprawach naszych czasów. Mogę tu wymienić, na przykład, ich troskę o pokój i sprzeciw wobec wyścigu zbrojeń. Biskupi Stanów Zjednoczonych opracowali też pewne tezy o charakterze moralnym, związane z użyciem broni atomowej, zwłaszcza z użyciem broni atomowej przeciw miastom i ludności cywilnej. Wyrażają oni również poważne zaniepokojenie i zajmują słusze stanowisko w sprawie nędzy, która jeszcze trapi miliony mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie są zaniepokojeni interwencjonistyczną polityką Stanów Zjednoczonych w Ameryce Łacińskiej i wyrażają wobec niej sprzeciw. Ponadto zajmują się problemami ubóstwa i wszelkimi problemami krajów słabo rozwiniętych. A więc są świadomi istnienia ogromnej nędzy, która gnębi tysiące milionów ludzi w Trzecim Świecie. Moim zda-

niem, są to problemy o podstawowym znaczeniu.

Byłem zainteresowany w przeprowadzeniu z biskupami długiej i szczerzej rozmowy na te tematy i na wszelkie inne tematy, jakie oni chcieliby podjąć. Ich zaś, jeśli chodzi o Kubę, interesowały stosunki między Kościołem a rządem, pragnęli poznać nasze poglądy i stanowisko w tej sprawie, a także przyczynić się do zbliżenia i większego zrozumienia między Kościołem a Rewolucją. Przedstawiłem im genezę powstałych konfliktów, uczyniłem to w sposób bardzo podobny, jak we wczorajszej rozmowie z tobą, kiedy zajmowaliśmy się tymi problemami; przedstawiłem im też, bardzo szczerze, pewne analizy historyczne dotyczące ewolucji wydarzeń politycznych i rewolucyjnych; poczyniłem też pewne porównania z historią Kościoła katolickiego. Powiedziałem im również, że moim zdaniem, istnieje wiele elementów wspólnych w doktrynie Kościoła i Rewolucji.

FREI BETTO: — Na przykład?

FIDEL CASTRO: — W pewnej chwili — najpierw chciałbym przedstawić uwagi krytyczne — powiedziałem, że niekiedy byliśmy dogmatykami, ale wy także nimi jesteście i — co często większymi niż my; żadna instytucja nie była, na przestrzeni dziejów, tak dogmatyczna jak Kościół katolicki. Powiedziałem im także, że rewolucje bywały bezwzględne, ale że w całej historii żadna instytucja nie była tak sztywna i bezwzględna jak Kościół katolicki; że ta sztywność, bezwzględność i nietolerancja doprowadziły niegdyś do stworzenia instytucji, które miały takie pomysły, jak posyłanie na stos wielu ludzi — i trwało to kilka wieków — za to, że zajmowały stanowisko inne niż Kościół. Przypomniałem im nawet wyczyny Torquemady, przykłady uczonych i myślicieli, których palono żywcem, gdyż byli innego zdania niż Kościół.

FREI BETTO: Torquemada był dominikaninem, jak ja. Ale pocieszam się, że jestem też bratem Giordano Bruna, Tomasza Campanelli, Savonaroli i innych dominikanów, którzy, jak Bartolomé de las Casas, walczyli o wyzwolenie.

FIDEL CASTRO: — Nie sądzę jednak, że stamiesz się uciążliwym komunistą dlatego, że Campenella był dominikaninem.

FREI BETTO: — Nie, mam nadzieję, że nie będę utopistą. Chociaż uważam, że w komunizmie jest dużo utopii, my zaś, jeśli chodzi o utopie, nazywamy ją w teologii Królestwem Bożym, ponieważ wtedy, kiedy już nie będzie żadnych sprzeczności, a nawet nie będzie istniało państwo, wówczas, jak sądzę, będziemy mieli do czynienia z nowymi jakościami duchowym w ludzkim życiu.

FIDEL CASTRO: — Zgadzam się z tobą, jest bowiem prawdą, że każda rewolucja niesie ze sobą marzenia i nadzieje na dokonanie wielkich rzeczy. Może nie udało mi się zrealizować ich wszystkich właśnie ze względu na ten pierwiastek utopii, jaki może zawierać każda idea rewolucyjna. Sądzę zresztą, że w chrześcijaństwie są też elementy utopii, tak samo jak w socjalizmie i w komunizmie. Jednakże opierając się na własnych doświadczeniach, na tym, co się zdarzyło w naszym kraju w ciągu tych dwudziestu sześciu lat, mógłbym ci powiedzieć, że w przypadku Kuby dokonania przerosły nasze marzenia i można by powiedzieć, że przeżywamy fazę nie tyle utopijną, co subuto-pijną, to znaczy znajdujemy się poniżej utopii w naszych marzeniach, ale powyżej utopii w naszych dokonaniach.

Nie wiedziałem, że Torquemada należał do tego samego



Fidel Castro — „są punkty wspólne”

co ty zakonu, ale wymieniles też kilka innych sławnych hispanijskich nazwisk, co mnie bardzo cieszy.

Tej rozmowy z biskupami nie prowadziłem w duchu polemicznym ani krytycznym, lecz były to raczej rozważania nad doświadczeniami historycznymi i wydarzeniami. Potem im powiedziałem, że są punkty wspólne, że możemy z powodzeniem podpisać się pod prawie wszystkie przykazania prawa Bożego, ponieważ są bardzo podobne do naszych zasad. Jeśli Kościół mówi: „Nie kradnij” my także rygorystycznie stosujemy się do tej zasady. Jedną z charakterystycznych cech naszej Rewolucji jest to, że likwiduje ona kradzież, malwersacje, korupcję. Jeśli Kościół mówi „Kochać bliźniego swego jak siebie samego”, to i my uczyniliśmy dokładnie tego samego, wpajając uczucia ludzkiej solidarności stanowiącej istotę socjalizmu i komunizmu, ducha braterstwa między ludźmi, które jest też jednym z najbardziej nam drogich celów. Jeśli Kościół mówi: „Nie kłam”, to przecież kłamstwo i oszustwo są tym, co najbardziej krytykujemy; potępiamy, odrzucamy. Jeśli Kościół mówi, na przykład: „Nie pożądaaj żony bliźniego twego”, to i my uważamy, że jednym z elementów etyki w stosunkach między rewolucjonistami jest właśnie zasada pozostawiania rodziny, pozostawiania żony towarzysza, żony bliźniego, jak wy byście powiedzieli. Kiedy, na przykład, Kościół pobudza ducha poświęcenia i wyrzeczeń, kiedy uczy pokory, my także głosimy to samo, gdy mówimy, że obowiązkiem rewolucjonisty jest gotowość do ofiar, życie surowe i skromne. (...)

waduru, Nikaragui. Już nawet nie mówię o Kubie, na temat Kuby kłamia od 26 lat. A wszystko dlatego, że jest ogromnie dużo obłudy w tych ludziach, którzy często wzywają nawet imienia Bożego popielając te zbrodnie.

FREI BETTO: — Przepraszam, Comandante. Chcę powiedzieć, że boga, którego wy, marksiści-leniniści, odrzucacie, ja także odrzucam: boga kapitału boga wyzysku; boga, w imię którego Hiszpania i Portugalia spełniały swą misję ewangelizacyjną w Ameryce Łacińskiej łącząc ją z ludobójstwem Indian; boga, który usprawiedliwiał i usławił powiązania Kościoła z burżuazyjnym państwem; boga, który obecnie legitymizuje takie dyktatury wojskowe, jak dyktatura Pinocheta. Tego boga, którego odrzucacie, tego boga, którego w swoim czasie oskarżał Marks, my także odrzucamy; to nie jest Bóg z Biblii, to nie jest Bóg Jezusa.

Biblijne kryteria, pozwalające stwierdzić, kto naprawdę wypełnia wle Boga, znajdują się w rozdziale 25 Ewangelii świętego Mateusza: „Byłem głodny, a daliście mi jeść; byłem spragniony, a daliście mi pić”. I moglibyśmy też dodać: byłem nieszczęśliwy, a daliście mi szkolę; byłem chory, a daliście mi zdrowie; byłem bez dachu nad głową, a daliście mi mieszkanie. A Jezus mówi: „Cokolwiek uczyniliście najmniejszemu spośród tych braci moich, mnieście uczynili”. (...)

Chciałbym powiedzieć, że z ewangelicznego punktu widzenia społeczeństwo socjalistyczne, które wytwarza warunki życia dla narodu, realizuje niewiadomie to, co my ludzie wiary, nazywamy planem bożym w historii.

FIDEL CASTRO: — Niektóre z tych rzeczy, o jakich mi mówisz, są bardzo interesujące. W moich rozmowach z biskupami amerykańskimi — bo o właśnie spowodowało tę wymianę poglądów między nami — przyjmowałem za punkt wyjścia właśnie to, co mamy wspólnego z nauką chrześcijańską i czego nas uczono, gdy byliśmy dziećmi i młodymi ludźmi. Kościół, na przykład, krytykował obżarstwo, socjalizm, marksizm-leninizm również krytykuje obżarstwo, można powiedzieć, że również surowo. Egoizm jest jedną z przyswar, które najbardziej krytykujemy i Kościół także ją krytykuje; inna cecha naganna jest skąpstwo, na które mamy ten sam krytyczny pogląd.

Powiedziałem nawet biskupom: macie misjonarzy, którzy jadą na przykład do Amazonii, by żyć wśród indiańskich społeczności, lub by pracować wśród trędowatych, jeżdżąc do wielu krajów świata, by pracować wśród chorych. My także mamy swoich internacjonalistów; dziesiątki tysięcy Kubańczyków wypełniają swe internacjonalistyczne zadania. Podawałem im jako przykład naszych nauczycieli, którzy pojechali do Nikaragui. Dwa tysiące nauczycieli, żyjących w bardzo trudnych warunkach z rodzinami chłopskimi. Nauczycieli i nauczycielek, to bardzo interesujące, gdyż prawie 50 procent tych nauczycieli stanowią kobiety, wiele z nich miało rodzinę, dzieci; rozstały się na dwa lata z rodziną, by udąć się w najodleglejsze zakątki gór i wsi Nikaragui, by żyć tak, jak żyje tamtejszy lud, w ubogich szalasach i jeść to, co on jada. Wiem, że często w tej samej chwili — prawie z reguły — mieszkająca rodzina z dziećmi, nauczyciel lub nauczycielka oraz inwentarz domowy.

Był taki moment, że zaniepokoił się zdrowiem tych nauczycieli. Próbowaliśmy im posłać trochę żywności, byliśmy zaniepokojeni ich stanem zdrowia, sposobem odżywiania się, ale nie było możliwe rozwiązanie tego problemu, próbowaliśmy, ale na próżno. Zaden z nauczycieli, jeśli otrzymał tabliczkę czekolady czy trochę mięsa skondensowanego lub w proszku, nie zjadł tego sam, bo tamtejsze dzieci tego nie miały. Po prostu natych-

miast rozdawali żywność, którą otrzymali.

Kiedy na Kubę zaapelowaliśmy o ochotników, którzy by tam pojechali uczyć, zgłosiło się 29 tysięcy nauczycieli, a kiedy kilku z tych nauczycieli zamordowano, zgłosiło się 100 tysięcy. Mogłbym zapytać: które społeczeństwo latynoamerykańskie może zmobilizować 100 tysięcy nauczycieli do pracy w takich warunkach? Zastanawiam się czy w innych krajach znalazłoby się pięćset, stu takich, którzy by spontanicznie i dobrowolnie chcieli pracować w takich warunkach, jak nasi nauczyciele. Jesteśmy małym krajem liczącym 10 milionów mieszkańców, a dysponujemy 100 tysiącami nauczycieli, mężczyzn i kobiet, gotowych jechać tam i uczyć. Mamy też profesorów i nauczycieli w krajach afrykańskich, takich jak Angola, Mozambik, Etiopia; lub w Azji, jak Japonia Południowa. Mamy około 1500 lekarzy pracujących w najodleglejszych zakątkach świata, w Azji, Afryce; dziesiątki tysięcy naszych rodaków wypełniających różne internacjonalistyczne zadania.

Przypomniałem biskupom, że jeśli Kościół ma misjonarzy, to my mamy naszych internacjonalistów. Jeśli wy cenicie ducha ofiarności i inne wartości moralne, są to te same wartości, które my głosimy, cenimy i staramy się zaszczepić naszym rodakom.

Powiedziałem im coś więcej: gdyby Kościół mógł na tych zasadach stworzyć państwo, byłoby to państwo takie jak nasze.

FREI BETTO: — Tak, mam jednak nadzieję, że Kościół nie ma już takich pretensji, nie chodzi mu o to, aby chrześcijaństwo stało się po prostu chrześcijaństwem lewicowym.

FIDEL CASTRO: — No cóż, nie sugerowałem biskupom, by stworzyli państwo, ale im powiedziałem, że gdyby się zorganizowali zgodnie z chrześcijańskimi nakazami, byłoby to państwo podobne do naszego. Powiedziałem im: prawdopodobnie nie pozwoliłbyś się za wszelką cenę, aby w państwie rządzącym się zasadami chrześcijańskimi istniały czy hazardowe — my wyeliminowaliśmy hazard. Nie pozwoliłbyś, aby na ulicach żebracy prosili o jałmużnę — Kuba jest jedynym krajem Ameryki Łacińskiej, w którym nie ma żebraków. Nie pozwoliłbyś na to, by istniały porzucone dzieci — w naszym kraju nie ma ani jednego porzuconego dziecka. Nie pozwoliłbyś, aby dziecko głodowało — u nas nie ma głodujących dzieci. Nie pozwoliłbyś, aby stary człowiek pozostał bez opieki, bez pomocy — u nas nie ma starców pozabawionych opieki i pomocy. Nie zaakceptowałbyś koncepcji państwa, w którym jest pełno bezrobotnych — w naszym kraju nie ma bezrobotnych. Nie pozwoliłbyś na narkotyki — w naszym kraju narkomania została wykorzeniona. Nie pozwoliłbyś na prostytucję, straszną instytucję, która zmusza kobiety do zarbawiania na życie sprzedawaniem swego ciała — w naszym kraju prostytucja została zlikwidowana poprzez zniesienie dyskryminacji i stworzenie kobietom możliwości pracy, ludzkich warunków życia, awansu społecznego. Zwalczyliśmy korupcję, kradzież, sprzeniewierzenia. A więc wszystkie te zjawiska, z którymi walczyliśmy, wszystkie te problemy, które rozwiązaliśmy, są tymi samymi problemami, które by musiał próbować rozwiązać Kościół, gdyby miał organizować państwo obywatelskie zgodnie z nakazami chrześcijaństwa.

Z książki „Fidel i religia. Rozmowy z Bratem Betto”.

Byla jedna z najbardziej interesujących kobiet w Europie w pierwszej połowie XIX w. W pewnej mierze zaważyła na losach założonej przez Andrzeja Towiańskiego sekty religijnej zwanej „Sprawą Bożą” i związanych z nią losach Adama Mickiewicza i Legionu Polskiego Tu — w wiecznym mieście — otrzymał w 1847 r. od papieża Grzegorza XVI własny „klasztorek” — jak pisał Zygmunt Krasinski do Soltana 24 lutego 1847 r. — „zajęta stanowisko poleża, stała się jakby centrum mistycznych objawów”.
Podawała się za przełożoną klasztoru bazyliank w Mińsku i za męczennicę, prześladowaną przez prawosławnych w Rosji. Przywiozła ze sobą do Paryża pisma polecające od znanego działacza wielkopolskiego gen. Dezyderya A. Chłapowskiego i arcybiskupa poznanskiego Leona Przyłuskiego. Ten ostatni polecił ją księdzom zmartwychwstańcom w Paryżu, by pomogli jej w wyjeździe do Rzymu w celu polecania papieża o prześladowaniach wyznawców Kościoła katolickiego w imperium carskim.
Była w wieku już mocno zaawansowanym, o rysach pospolitych, znamionujących raczej kobietę z gminu niż uduchowioną męczennicę. Język jej prosty z ubogim słownictwem i brak manier, nie potawiała — jak mówili — pochodzenia arystokratycznego oraz starannego wychowania i wykształcenia.
Po przybyciu do stolicy Francji księża zmartwychwstańcy rozgłosili w kacychiach jej tragiczne przeżycia w Rosji. Pierwsza z pism emigracyjnych, organ księcia Adama J. Czartoryskiego „Trzeci Maj” już 20 września 1845 r. ogłosił artykuł o męczennicy zakonnicy. W tydzień później relację o prześladowaniach bazyliank na Litwie powtórzyła obszernie „Dziennik Narodowy”. Za polskimi pismami powtórzyła ją niemal cała prasa francuska.

OPOWIEŚCI MAKRYNY MIECZYSLAWSKIEJ

przyjmowały bezkrytycznie zwłaszcza kobiety, które zalewały się rzewnymi łzami, słuchając o męczennicy zakonnicy i o zadawanych przez diabłów i żołnierzy moskiewskich torturach, od których śmierć męczeńska poniosła 17 siostr i 5 przełożonych klasztorów bazylianów w Połocku i Witebsku, zatonięciu 3 siostr w czasie pławienia ich w jeziorze w Miadziole, o ucieczce z 3 zakonnicek i o kilkumiesięcznym błądzeniu po puszczy w głódzie i w chłodzie. Z całej Europy posypały się protesty przeciwko prześladowaniom religijnym i narodowym w Rosji. Nastąpiły interpelacje parlamentarne we Francji, Anglii i Bawarii.

Ks. Adam Czartoryski po pierwszym spotkaniu z Makryną Mieczysławską krytycznie odniósł się do jej opowieści. Nie dowierzał im. Pisząc o niej do redaktora „Trzeciego Maja” Ludwika Orpiewskiego, liczył się z tym, że może przyjdzie „rzecz całą zamazać i pokryć zapomnieniem”. Pod naciskiem jednak opinii publicznej i wielkiego rozgłosu w świecie nie mógł uchylić się od patronowania manifestacji, zorganizowanej na cześć Matki Makryny, 9 października 1845 r.

W opinii ogółu Mieczysławka uchodziła za prawdziwą męczennicę świętej wiary i oddawała jej publicznie hołdy. Węszłość emigrantów polskich potwierdzała na każdym kroku jej tożsamość i wiarygodność przytoczonej, z głębokim wzruszeniem wysłuchal jej niezwyklej opowieści o męczennicy.

W opinii ogółu Mieczysławka uchodziła za prawdziwą męczennicę świętej wiary i oddawała jej publicznie hołdy. Węszłość emigrantów polskich potwierdzała na każdym kroku jej tożsamość i wiarygodność przytoczonej, z głębokim wzruszeniem wysłuchal jej niezwyklej opowieści o męczennicy.

Zaopatrzona w liczne listy polecające od duchowieństwa i wysoko postawionych w emigracji osób, w dniu 10 października 1845 r. Matka Makryna w towarzystwie przydzielonego jej przez księży zmartwychwstańców ks. Aleksandra Jelowickiego

UDAŁA SIĘ DO RZYMU

doznając entuzjastycznego przyjęcia na postojach kolejowych. Po przyjeździe do Rzymu Makryna Mieczysławka zamieszkała chwilowo w Sacré-Coeur. W 4 dni później Grzegorz XVI przyjął księżkę na specjalnej audiencji. Z głębokim wzruszeniem wysłuchal jej niezwyklej opowieści o męczennicy.

— 7 lat, 7 lat i tyle wycierpięta — zawołała — a ja nie wiem, czy dziś nie byłoby lepiej, gdyby się cesarz w moim przedpokoju spotkał ze swoją ofiarą.

Papież polecił ks. Jelowickiemu spisać przeżycia Matki Makryny. Dla nadania protokołowi charakteru specjalnego dokumentu, zeznania zostały spisane przez 3 członków powołanej w tym celu Komisji: rektora jako przewodniczącego ks. Jelowickiego oraz rektora kolegium propagandy rzymskiej ks. Maksymiliana Ryłły i teologa tegoż kolegium ks. Alojzego Leitnera.

Oto dialog członków Komisji z Matką Makryną, jaki wywiadał się w trakcie jej zeznań z przeżyć w Rosji:

Pierwszy zabrał głos ks. Aleksander Jelowicki:
— Matko Makryno! To, co dziś nam opowiesz, będzie stanowczo bardzo ważny dokument o prześladowaniu unitów w Rosji. Dlatego prosimy bardzo, by zeznania te były szczere, oparte na prawdziwych faktach, by na ich podstawie cały świat dowiedzieli się, jak potwornie są prześladowani przez światłowidnych ci, którzy opowiadają się za prawdziwym Chrystusowym Kościołem rzymsko-katolickim. Czy Matka jest gotowa do złożenia takich zeznań?

— Tak, przewielebny księże! Mówić będę tylko prawdę! Tak mi dopomóż Święta Trójco i Matko Przenajświętsza!

— Może na wstępie Matka nam powie kilka słów o swoim pochodzeniu — zapytał ks. Alojzy Leitner. — Gdzie Matka się urodziła?

— W Stokliszkach, w województwie trockim.

— Jak nazywali się rodzice?

— Józef i Anna Jagiełło.

— Jakielto? — zdziwił się ks. Ryłło. — Przecież Matka nazywała się Mieczysławka.

— Nazwisko Mieczysławskiej przybrałam później, kiedy wstąpiłam do klasztoru.

— Jaki był zawód ojca?

— Ojciec był szlachcicem i posiadał dość duży majątek.

— Czy Matka miała jakieś rodzeństwo? — indagował dalej ks. Leitner.

— Tak. Miałam dwie siostry. Jedna wyszła za mąż za arystokratę francuskiego, a druga za bogatego pana szkockiego.

— Jak nazywają się ci panowie?

— Mieczysławską zaskoczyło niespodziewane pytanie. Przez chwilę milczała, jakby zastanawiała się, co ma powiedzieć.

— Byłam małą dziewczynką — rzekła po chwili — kiedy siostry wyszły za mąż. Nie znam nazwisk ich mężów.

— A później, kiedy Matka podrosła, nie spotykała się z siostrami, nie interesowała się nimi?

— Nie, proszę księże! Siostry wyjechały za granicę, a ja... wstąpiłam do klasztoru bazyliank. Jako zakonnica poświęcałam się tylko służbie bożej.

Odpowiedź Mieczysławskiej nie usatysfakcjonowała dociekliwego ks. Leitnera. Spojrzał pytająco na ks. Jelowickiego.

— Ojciec Alojzy! — zabrał głos ks. Jelowicki. — Chodzi nam głównie o to, ażeby Matka Mieczysławka opowiedziała nam swoje tragiczne przeżycia, jakie przeszła w Rosji. Okres dzieciństwa nas nie interesuje!

— Nie chodzi o okres dzieciństwa, ojcze Aleksandrze! — rzekł ks. Leitner — ale o to, czy Matka mówi prawdę.

— Pewnego razu — zaczęła opowiadać Makryna Mieczysławka — biskup Siemiaszko przedłożył nam do podpisania oświadczenie, w którym miałyśmy się rzec prawdziwej wiary i przejść na prawosławie. Oczywiście odpowiedziałyśmy biskupowi odmownie. Wtedy zawiadł o osobie i zapytał mnie, dlaczego nie chcę podpisać z innymi zakonnkami oświadczenia. — Nie podpiszę go dlatego — odpowiedziałam — gdyż znalazłam w tym piśmie niegodne kłamstwo. — Co to znaczy? — zapytał biskup. — To znaczy — odpowiedziałam, — że ty, sam będąc bazylianinem w zaślępieniu stałeś się odstępca świętego Bazylego. Za to święty Bazyli odrzucił cie, jak kłóć od pszenicy, a raczej ty sam poznałeś, żeś niegodnym stałeś się jego dzieckiem, podwójnym

odstępstwem opuścił grono jego wyznawców. Siemiaszko ustyszczały taką moją odpowiedź, bardzo rozgniewał się i nazwał mnie „jedną piekielną”.

Ks. Leitner z powątpiewaniem przysłuchiwał się zeznaniom rzekomej księni bazyliank.

KAŻDE JEJ SŁOWO,

wydawało mu się niczym innym, jak tylko kłamstwem. Doszedł do tego przekonania bez żadnych wątpliwości, gdy Matka Makryna w dalszym ciągu swoich odczytała rzekomo carskie pismo w sprawie siostr bazyliank. Ogłosił je po raz pierwszy ks. Jan Urban w książce „pt. „Makryna Mieczysławka w świetle prawdy” (Kraków — 1923 r.). Oto treść tego pisma:

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Kim była matka Makryna?



Reprodukcja Jędrzej Kowala — Matka Makryna Mieczysławka (Częstochowa 1920).

„Wszystko cokolwiek archi-archi-archi Siemiaszko zdmiał i wszystko co działo dla rozszerzenia wiary prawosławnej, wszystko to potwierdzam i uchwalam i wszystkim do święte, święte, najświętsze uznaję, a nakazuję, iżby w niczem nie stawiano oporu; a w razie oporu nakazuję, aby na zwolnienie archi-archi-archi Siemiaszki, w każdym czasie i wiele zapotrzebuję, dać mu wojsko a ukaz ten własną ręką podpisuję, Mikołaj I”.

— Ależ to pismo jest falsyfikatem! — stwierdził ks. Alojzy Leitner po obejrzeniu „ukazu”, przedkładając go ks. Jelowickiemu.

— Czytałem wiele ukazów carskich, ale ten, który przedłożyła Matka Makryna, tak pod względem stylistycznym, jak i treściowym, nie odpowiada im absolutnie. Ponadto nie ma w nim oryginalnego podpisu i co najgorsze pięćdziesiąt urzędowych kancelarii carskiej. Wszystko wskazuje na to że został sfalszowany.

— Matko Makryno! — odezwał się ks. Jelowicki. — Czy właśnie takie pismo i w takiej formie otrzymała od biskupa Siemiaszki?

— Nie, przewielebny księże! To pismo, które czytałem, jest odpisem ukazi carskiego. Zrobiłam z niego odpis długi, aby zachować go w pamięci. Oryginał pisma po kilku dniach odebrał protopop klasztoru Wierowkin.

— W dalszym ciągu twierdzę — odpowiedział na to ks. Leitner — że styl i treść pisma odbiegają daleko od właściwego ukazu carskiego. Nie wyobrażam, ażeby o podobnym stylu pismo, jakiego nam okazała Matka Makryna, przeszło przez ręce kancelarii III Wydziału Kancelarii Carskiej generała Aleksandra Benkenдорffa.

— Być może! — w głosie Jelowickiego odczuwało się tym razem wyraźne zniecierpliwienie. — Ale nie mamy czasu na przepatanie sobie głowy takimi drobnostkami. Matko Makryno! Przesz już mówić dalej!

— W kilka miesięcy później, w 1842 r., znów zjawił się w klasztorze biskup Siemiaszko. Za nieposłuszeństwo kazał uporne zakonnice zamknąć w cerkwi. Wierowkin groził spalaniem nas na stosie. Kazał nawet w tym celu zwołać chrust. Ale Siemiaszko przystąpił nam inne męczarnie. Nasła na nas pijany diabeł i slug cerkiewnych. Tłuszczała ta rzuciła się na nas — bezbronne kobiety — i zaczęła nas gwałcić, a potem jak wsieckie psy kłosać, bić i katować. Dwie z nas roztratowano na śmierć, osmiu wydubano oczy. Ja byłam okuszona 3 razy, a miałam bok tak rozdarty, iż — jak mi siostry mówiły — wnętrzości tylko samą błoną były przytrzymywane.

— Ale mimo to jakoś Matka wyszła cała z tej opresji! — zauważył z ironią w głosie ks. Leitner.

Relacja Makryny Mieczysławskiej została angielskim. W czterech językach: polskim, włoskim, francuskim i hiszpańskim. Z przygotowaniem tłumacza relacji spieszo się ze względu na to, że miała się odbyć

WIZYTA CARA MIKOŁAJA I U PAPIEŻA.

Wiele obiecywano sobie po tym spotkaniu. Liczono, iż ono może zaważyć dodatnio na położeniu Kościoła katolickiego w Rosji.

W grudniu 1845 r. odbyła się w Petersburgu wizyta cara u ojca świętego. Opis jej zawdzięczamy ks. Aleksandrowi Jelowickiemu, który w liście z 17 tegoż miesiąca, zamieszczonym w cytowanej książce P. Smolikowskiego w tomie III, tak pisał:

„Mikołaj zaczął od światowych grzeszności, które ojciec św. wnet mu przerwał, mówiąc: Nie tracmy czasu, mówimy o rzeczach ważnych, a chwila pomatu, abym cię dobrze zrozumieć. Ja starzec, lada chwila pójdę zdać Chrystusowi Panu rachunek z pasterstwa mego, ale i ciebie lada chwila Bóg wezwie może przed sąd swój dla zdania sprawy z prześladowania Kościoła Jego, mianowicie w biednej Polsce. Mikołaj strwożył się niezmiernie (... a) calując rękę i szaty Ojca św., mówił i stwierdzał: Osta-wiono mnie przed Waszą Świątobliwością, a gdy Ojciec św. wy-rzekł, iż w Matce Makrynie mam żywego świadka niestychających okrucieństw, jakich się pod berłem jego na katolikach dopusz-czała, Mikołaj zrzeczał, że o tem wcale nie wiedział i że Siemiaszko i inni nadużyli zaufania jego, co on wysłuchi i surowo ukarze. Wtedy Ojciec św. podał mu zwój papierów, mówiąc: Oto własne sprawy twoje, 26 ukazów przeciw Kościołowi...”

Czy taki przebieg miało spotkanie Mikołaja I z Grzegorzem XVI — nie wiemy. Wiadomo natomiast z ogłoszonej w 2 lata później tak zwanej „łóttej księgi” Stolicy Apostolskiej, iż papież ani słowem nie wspominał ani o Makrynie Mieczysławskiej, ani też o prześladowaniu Kościoła katolickiego w Rosji.

Car wiedział jednak o sprawie Matki Makryny. Poruszył ją w rozmowie z kardynałem Lambruschiniem, która odbyła się w czasie swego pobytu w Rzymie w 2 dni po audiencji u papieża. Car był z Polaków, zwłaszcza „świętego sluga księcia Adama Czartoryskiego” — księdza Jelowickiego który spowodował imię jego ze swą fałszywą księżną z Mińska. Kardynał zapewnił Mikołaja I, iż Stolica Apostolska nie bierze żadnego udziału w tej intrydze. Z pobudek czysto moralnych — miłości chrześcijańskiej — dala prześladowanej w Rosji zakonnicy schronienie, w którym mogłaby w spokoju żyć.

W 2 dni później car złożył drugą żółteńską wizytę Grzegorzowi XVI. Zapewnił go, iż dołoży wszelkich starań do wywołania przedłożonych przez papieża żądań odnośnie do prześladowania Kościoła katolickiego w imperium carskim.

Grzegorz XVI nie zgodził się na przesłanie dworom europejskim spisanych przez komisję papieską zeznań Makryny Mieczysławskiej jako materiału obciążającego Rosję. Stolica Apostolska zależał bowiem na utrzymaniu jak najlepszych stosunków z Mikołajem I, zwłaszcza w chwili, kiedy zabiegał o zawarcie z Rosją konkordatu. Toteż papież oficjalnie odżegnywał się od inspirowania wszelkich publikacji na temat Mieczysławskiej, m.in. zamieszczonego w czasopiśmie francuskim „Le Correspondant” streszczenia zeznań Matki Makryny, spisanych przez Komisję papieską.

Rząd rosyjski na wyraźne życzenie cara dwukrotnie zaprzeczał w oficjalnych notach do państw europejskich wiarygodność zeznań Mieczysławskiej, ale i opinia światowa przyjęła je dość sceptycznie.

Wobec podpisania konkordatu w 1847 r. polemika w sprawie Mieczysławskiej zaczęła stopniowo uciszać się i straciła charakter religijno-polityczny.

Mimo dementi rządu rosyjskiego Matka Makryna w dalszym ciągu

BYŁA BARDZO POPULARNA

Uważano ją za świętą. W nabożeństwach w kaplicy, które się odbywały w intencji Makryny Mieczysławskiej, brały udział wy-tworne panie ze znanych domów polskich, jak księżna Zofia z Branickich Odessalchi, żona Z. Krasinskiego Eliza Krasinska i inne. Podziwiała one świętą męczennicę, zatopioną codziennie w żarliwych modłach. Jak w świętej relikwii wpatrywały się w jej duży krzyż, zwisający na falujących jej piersiach.

Po śmierci Grzegorza XVI ponownie wzrosło zainteresowanie osobą Mieczysławskiej. Nowo wybrany papież Pius IX uznał w niej prawdziwą męczennicę za wiarę św. Zgodził się na założenie klasztoru bazyliank w Rzymie z Matką Makryną jako przeoryszą na czele. Wkrótce Mieczysławka odnowiła ślubę zakonną i z zebranych składek oraz przy wydatnej pomocy księżnej Odessalchi i krewnej ks. Jelowickiego Wiktorii Sobanśkiej zakupiła budynek Casa di San Giuano i po odrestaurowaniu przeznaczyła go na klasztor bazyliank w obrządku łacińskim. W 1851 r. wraz z trzema siostrami przeniosła się do nowego klasztoru.

Jako przeorysza Makryna Mieczysławka wprowadziła bardzo surowy rygor. Stąd dochodziło często do scysji między nią i siostrami. Wadziła się również ze spowiednikami, których ciągle zmieniała. Doszło również do poważnego rozdźwięku z księżmi zmartwychwstańcami.

Matka Makryna trafiła także na pozycję w Rzymie. Kardynał Wikary miał jej za złe, że „wszystko sama robi, żyje bez posłuszeństwa, przenosi się z miejsca na miejsce, zakłada klasztor bez wiedzy mojej i pozwolenia”. Dzięki jednak możnym protektorom w osobach księżnej Odessalchi, kardynała Mezzofantiego, kardynała i prefekta Kongregacji Propagandy Mieszana Leńdó-chowskiego i innych Matka Makryna potrafiła przez długie lata utrzymać się na eksponowanym stanowisku w Rzymie.

Podporządkowała sobie większość księży zmartwychwstańców, a przepowiedniami i widzeniami schlebiała i urabiała sobie przy-chylnie poglądy u emigrantów polskich, zjednąc również i Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Zygmunta Krasinskiego, Cypryana K. Norwida i wielu innych. Na próżno delegacja carska domagała się usunięcia Makryny Mieczysławskiej z Rzymu, pod-ważając wiarygodność jej zeznań, ogłoszonych ponownie przez E. Boucheta w 1853 r.

Przez wiele lat z życia i po śmierci (w 1869 r.) Mieczysławka była otaczana szczególną czcią i szacunkiem. Znalazła również miejsce w literaturze polskiej i zagranicznej. Mickiewicz nazywał ją „symbolizowaną Polską”, a Słowacki poświęcił jej piękny poemat pt. „Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską”. Uwierzył w światłość męczennicy także Z. Krasinski, który — jak pisał — widział w niej „pierwiastek niezawodny świętości i wielkości”. W aureoli świętości przedstawił ją w kilkadziesiąt lat później autor „Legionu” Stanisław Wyspiański i Andrzej Waśkowski w dramacie „Makryna”.

W świetle nowszych badań ks. Jan Urban w cytowanej pracy pt. „Makryna Mieczysławka w świetle prawdy” (Kraków — 1923) dowiódł, iż rzekoma księni siostr bazyliank okazała się zwykłą oszustką.

WSZYSTKO W NIEJ BYŁO FAŁSZYWE:

suknia zakonnicy, męczennicy, świętości, nawet nawisko. Zaden z podanych przez nią faktów nie odpowiadał prawdzie. Makryna Mieczysławka nie tylko, że nie była przełożoną klasztoru bazyliank w Mińsku, ale wcale do tego klasztoru nie należała. Nie miała absolutnie miejsca opisanego przez nią męczarnie i katusze, zadawane rzekomo przez żołnierzy carskich i służbę cerkiewną. Teatralność szczegółów i prostactki język biskupa Siemiaszki, noty pisanej przez cara oraz tehubredne „cudowności”: krytyce i konie — wszystko to niewybredne, uprzedzało zdanie prawosławnej oświadczeniu J. Siemiaszko stwierdził, że nie spotkał się nigdy w czasie wizytacji klasztorów z nazwiskiem ani Mieczysławskiej, ani wymienionych przez nią w zeznaniach siostr, nie otrzymał żadnego raportu o ucieczce zakonnicy z klasztoru, nie budowano dla niego żadnego pałacu, gdyż przebywał stale w Petersburgu. Sam Siemiaszko — jak stwierdziła bazylianka Antonina Leńewska — był łagodny i daleki od takich okrucieństw, jakie przypisywała mu Matka Makryna.

Inne źródła, jak Jan Urban i Jan Wszolek w artykule ogłoszonym w XX tomie „Polskiego Słownika Biograficznego” (Kraków — 1935—1939) podają, iż Makryna mogła pochodzić z nieznanego rodu żydowskiej i dopiero po przejściu na katolicyzm u mariańskich wileńskich przyjęła nazwisko Mieczysławskiej. Później miała przebywać w klasztorze benedyktynek w Mińsku i pracować jako pokojówka lub garderobiana u Czetwertyńskich. Potem miała wyjść za mąż za emerytowanego kapitana Winęza. Po jego śmierci w 1830 r. odwieżdżona różne miasta i przedstawiając siebie jako skrzywdzoną przez los zakonnice zyskiwała współczucie i pomoc materialną ze strony ich mieszkańców. Około 1840 r. została aresztowana, być może za wzbudzenie lub podsywanie się pod miano zakonnicy. Po przeprowadzonym śledztwie oddano ją pod nadzór policyjny w Lubczu w powiecie wileńskim. Tu zmiała czynność policyjną, opuściła Lubecz i osiadła w klasztorze bernardynek świętomichalskich w Wilnie. Jako szarfarka klasztoru zetknęła się z osiadłymi tam bazylianiami z Mińska i Miadziołu i od nich dowiedziała się o historii ich nawracania na prawosławie. Na wiosnę 1845 r. zrezygnowała z dalszej pracy w klasztorze i jako księni bazyliank w Mińsku opuściła Rosję, udając się za granicę do Poznania, Paryża i Rzymu.

O d wieków fantastyczne ambicje i koncepcje zdobycia nadnaturalnej mocy rozdyżysia i rodzą na te okultystycznych praktyk i złudzeń, na te żądy wzmocnienia poczucia siły, która tkwi w podstawach magii. Znamy je z tajemnych związków i teozoficznych iozów oświeceni. Związek tajemny, wiążący członków traszliwymy przysięgami, dawał naczelnikowi taką nieograniczoną władzę despotyczną, o jakiej nie marzył żaden monarcha. Rosła ta władza dzięki stosowaniu sugestii i hipnozy, dzięki fikcyjnemu działaniu woli na obce dusze. Wódzowie sekt mistycznych zmierzali do całkowitego zawiadnięcia wolą, myślą, uczuciami adeptów.

W drugiej połowie XX wieku, w USA, w kraju rozszarpiącym sobie prawo do pełnej demokracji, powstał swoisty obóz koncentracyjny. Szef, założyciel i mistrz sekty — Bhagwan, zwany przez swych wyznawców Nadojcem i Guru w wywiadzie udzielonym „Sternowi” w grudniu 1985 r. powiedział:

— Nasza komuna była miniaturą nazistowskich Niemiec. Był taki sam początek, lecz wcześniej to zauważono i zastopowano.

PROROK PRZYBYŁ DO USA

prawie pięć lat temu. Początkowo miał tylko kilkunastu wyznawców, stopniowo sekta rozrastała się i w 1985 roku należało do niej ponad pięć tysięcy osób. Pełnomocnik komuny wykupił od miejscowych władz rozległe tereny w stanie Oregon, które od tam miały stać się zamkniętym obozem. Tak było w rzeczywistości, ale oficjalne plany rysowały wyjątkowo atrakcyjny, pod względem finansowym, obraz przyszłości. Ta zielona oaza z tysiącami modlących się wyznawców Bhagwana miała stać się miejscem do spędzania ferii, atakując turystycznie. W ciągu kilku tygodni powstały lekkie pawilony, w których zamieszkałi członkowie „klubu do rozmyślań”, jak eufemizując nazwał prorok powstały tam wkrótce obóz. Lu-

dzie ci pracowali pod nadzorem prawie bez odpoczynku. Uprawiali pola, wytwarzali przedmioty artystyczne, obsługiwali pralnie, kuchnie. A robili to wszystko jedynie za posilek i bógostawienie Guru.

W czasie wielkich uroczystości, kiedy prorok przemawiał, wszyscy zgromadzeni na placu kiękali u jego stóp. Tak było na początku, gdy wstęp na teren Rajneeshpuram, a przede wszystkim odejście stamtąd, było zależne od członka sekty. Jednak od czasu, jak w obozie zaczęła „dowodzić” Ma Anand Sheela — kobieta z rewolwerem — natchniona wykonawczyni woli Mistrza, orzy wejściu do doliny zaczęła obowiązywać ścisła kontrola. Wszystkim nowo przybyłym przeglądano pakun-

im wierzyc, że nie jest im potrzebne i w tym samym czasie nabywał diamentowe zegarki, kolie, perły, najdroższe samochody. Chciał być jej jnym mężczyzną na świecie, który posiada sto „Rolls-Royce’ów”. Przez ostatnie trzy i pół roku milcząc rozmyślał. Całkowicie wyłączył się z życia, nie czytał gazet, nie oglądał telewizji. W czasie tej dobrowolnej izolacji tylko jego powiernica Sheela miała do niego dostęp. Ma Anand Sheela — prezydentowa międzynarodowego koncernu „Rajneeshpuram”, prywatna sekretarka Bhagwan Shree Rajneesh, szefowa ciężko uzbrojonych „jednostek pokojowych” w Oregonie, i to nie było tajemnicą. Kierarka samego oświeconego. Właśnie

Chodzie „Volkswagen”. Dwóch Niemców na przednim siedzeniu, a na tylnym stu Żydów w urnach. Taka była strategia Bhagwan, którą przejął on od Hitlera. Jeśli się walczy przeciw większości, trzeba robić wiele zwzawy. Szef sekty miał zapędy faszystowskie i przyznawał się do fascynacji poglądami Gurdiejewa.

We wrześniu ubiegłego roku Ma Anand Sheela opuściła swego Guru i rajską dolinę w stanie Oregon. Na wygnanie wyruszyło z nią kilkudziesięciu przyjaciół — elita zarządu komuny. „Odeszli najlepsi” — powie Sheela dziennikarzowi ze „Sternu” w wywiadzie udzielonym kilka miesięcy temu. Paucieczka grupa byłych członków sekty odleciała do Europy.

sil nie wykona jego poleceń — „opuści swoje ciało”. Podobnie postępowal z innymi — „podaruj mi to albo umrę”. Byli mistrz wraz z pozostałymi wyznawcami gromadzi przeciw niewiernej sekretarce obciążające dowody. Oskarżył ją, że usiłowała go otruci, zamordować swoją dentystką, lekarza, a przeciw innym planowała akty terroru.

— Najwięcej odchodzi w nocy i podczas mgły — tak zaczęła opowiadać o swym odejściu Ma Anand Sheela. Ona chciała odejść z goi-ością. Pożegnała się z ponad dwustu przyjaciółmi. Napisała do Bhagwana list, w którym zawiadomiła, że nie jest gotowa przyjąć nieznosnych obowiązków wobec jego zwolenników.

Obecnie w Rajneeshpuram jeszcze sprawdza się księgi rachunkowe, aby dorzucić coś niech do zarobkowych 55 milionów. Nowa sekretarka jak lwica broni interesów komuny przed napaszciami dziennikarzy. Ma Prem Isabel ubrana w różowo-purpurowy strój oraz w diamentowy naszyjnik i bransoletę — jest nową rzeczniką Bhagwana.

Wprawdzie niektórzy z pięciu tysięcy zwolenników Guru dziwią się (prywatnie), że w ostatnim czasie żyją w obozie koncentracyjnym. Jednak nie poruszają tej sprawy przed oświeconym, aby nie załamały się ich poglądy życiowe i nie utracili swego boga. Raczej pozwolą się przez niego znieważać. Od ucieczki jego najbliższej zaufanej nie ma dnia, aby Bhagwan nie wbił swoim wyznawcom do głów, jakimi są idiotami, że nie widzą prawdziwego sensu jego misji.

— Wyście nic nie zrozumiełi z mojej nauki. Wierni z Rajneeshpuram nabożnie słuchają coraz to nowych oskarżeń przeciwko byłej sekretarce Bhagwana. Zaskakujące, iż mimo wszystko, cieszyła się ona ogromną popularnością. Lista jej przedstawicielstwa prezentowanych przez mistrza jest coraz dłuższa. A oskarżenia coraz cięższe. Jasne staje się, że rozgrywa się tu walka o władzę.

Zagadką jest czy odejście Ma Anand Sheeli nie jest nowym trikiem Bhagwana. Czy ta otwarcie zaaranżowana schizma nie jest drogą do realizacji głoszonej przez szefa sekty tezy: Bhagwan przeciw reszcie świata. Sam przecież przyznał się, iż, niezależnie od środków potrzebnych do realizacji marzeń, obecnie jego największym pragnieniem jest posiadać władzę nad krajem. Na razie jednak zaborczy prorok jest zagrożony wydaleniem ze Stanów Zjednoczonych.

Zamierzam udać się do RFN. — Oni dotrzymują wierności. Moja następna walka odbędzie się w Niemczech. Mam nadzieję, że modlą się o to.

BEATA SZUSZWEDYK-KOWALIK

Tajemnice sekty Bhagwana

ki. W ciągu całej doby krążyły uzbrojone patrole a ucieczki zdarzały się tylko w nocy i podczas mgły. Jednak wszyscy ci, którzy opuścili dolinę milczeli. Dopiero po zamieszkach w Rajneeshpuram całe Stany Zjednoczone zostały poruszone wieścią o tym, co przez kilka lat kryła rajska dolina w stanie Oregon.

BHAGWAN SPRZEDAJE BLEKITNE NIEBO

Pięć tysięcy wyznawców przez ciężką pracę traktowaną jako modlitwę zamienilo pustynię w raj mlekiem i miodem plynący. Pracowali oni 18-20 godzin na dobę, bez żadnego wynagrodzenia. Bhagwan kazał

ona w miesiącach, gdy prorok milczał, była jego głosem. Najpotężniejsza kobieta klanu, która chętnie pozwalała fotografować się z ciężkim odkrytym rewolwerem, teraz odpędziła od namaszczonych stóp kaznodziej ścigana przez Interpol i FBI. Zarzucano jej sprzeniewierzenie 55 mln dolarów, a sam mistrz Bhagwan i jego wyznawcy dorzucają do tego oskarżenia usiłowanie zabicia trzech osób ze świdy wodza, znęcanie się nad uczniami i przekształcenie komuny w obóz koncentracyjny.

JAK ZMIĘŚCIĆ STU ŻYDÓW W SAMOCHODZIE VOLKSWAGEN?

Kobieta, która teraz doł się o własne życie, kiedyś groziła innym. Znana była ze swej agresywności. Uczniowie Bhagwana byli szokowani przez nią zdaniami: „Jeżeli nas zaatakują, pomalujemy buldożery ich krają”. „Za każdego zabitego wyznawcę wymordujemy piętnastu wrogów”. Opowiadała także anegdotkę o tym, jak zmieścić stu Żydów w samo-

Zatrzymali się krótko w Szwajcarii, gdzie przebywał kierownik handlowy sekty na Europę Dhan Dipo, który w poprzednich latach współpracował ściśle z Anand Sheela i pieniądze z Oregon lokował w bankach szwajcarskich. Po krótkim owacyjnym przyjęciu w Ashram, wygnający z Oregonu pojechali do Niemiec, gdzie mieszkają w małej wiosce w Anglii. Właśnie tu Ma Anand Sheela ubrana w różowo-szarą szatnię (kolory wyznawców Bhagwan) udzielała wywiadu grupie niemieckich dziennikarzy usiłujących dowiedzieć się, czy w górach Szwarcwaldu założyła nowe Ashramy oraz dlaczego opuściła swego mistrza?

— Ja nie szukam spirytystycznych doświadczeń, lecz zakochuję się w mężczyźnie. Tym razem był to mistrz sekty — Bhagwan. Ja kocham go zawsze, lecz miłość moja nie posuwa się tak daleko, aby być jego niewolnicą.

Odejście sekretarki i powiernicy mistrza było spowodowane tym, że nie mogła ona pogodzić się z panującą w Oregon korupcją i wyżyłkiem wiernych. Skarży się, że przez ostatnie miesiące była przez Bhagwana szantażowana, że je-

Odeszła 14 września 1985 r. o czwartej po południu zabierając tylko osobiste przedmioty, wędliny koc i poduszkę. Pozostawiła brylantową piżamerę, zegarki, perły i swego ulubionego „Rolls-Royce’a” proroka. Wraz z nią odeszła elita. Kobiety troszczące się o sektę, odpowiedzialne za kuchnię, pomoc medyczną, inwestycje. Z Bhagwanem pozostali skorumpowani nie troszczący się o wyznawców. Najlepszych wzięła ze sobą.

— Nikomu nie proponowałam, aby ze mną uciekał. Każdy wybierał sam.

HISTORYJKI Z KRAJU BHAGWAN.

Po ucieczce Ma Anand Sheela „Stern” przeprowadził wywiad z Nadojcem, szefem sekty — Bhagwanem. I oto co odpowiedział on na wątpliwości dziennikarzy dotyczące problemów finansowych komuny i propozycję sprzedania blisko stu „Rolls-Royce’ów”.

— Moi ludzie tego nie chcą. Mówią, że każde auto, w którym siedziałem jest święte i jest pewnego rodzaju pomnikiem.

Wśród licznych zachodniemieckich grup młodzieżowych, tak charakterystycznych zwłaszcza dla wielkomiejskiego pejzażu, zwracają ostatnio coraz silniej na siebie uwagę opinii publicznej, występujący pod angielskim przewianiem Skinheads (od gładko wygolonych głów), określanie też niemieckim skórtom Skins.

Od innych grup młodzieży odróżniają się ponadto elementami ubioru — szarozielonymi „lotniczymi” kurtkami, dzinsami na szelkach z podwinętymi nogawkami oraz sznurowanym obuwiem z cholewką. Ale nie to najbardziej wyodrębnia ich z mniej lub bardziej ekscentrycznie ubranych czy uzęsanych młodych ludzi, gdyby nie pewne postawy życiowe i inklinacje światopoglądowe. W przeciwieństwie bowiem do grup młodych ludzi nie mających na ogół stałego zajęcia i holdujących mniej czy bardziej wyszukany rozrywkom i nalogom skinheadzi nie stronią od pracy zarobkowej i cenią ciężką i sprawność fizyczną.

Można by więc sądzić, że reprezentują oni postępowy odłam młodzieżowych nurtów, a tymczasem okazuje się, że są wyznawcami odrzającej i budzącej niedobre wspomnienia ideologii, wyrażającej się programową wrogością do cudzoziemców, znajdującej przy tym ujęcie w niezwykle brutalnych postępkach.

To właśnie skinheadzi zamordowali w końcu 1985 roku w biały dzień na ulicy Hamburga 26-letniego Turka, należącego do tak licznej w RFN rzeszy cudzoziemskich robotników. Ramazan Avci przechodził w towarzystwie dwóch swoich ziomków koło gospody, w której zwykli zbierać się skinheadzi. Najpierw obrzucili oni cudzoziemców obelżywymi przewiskami, a w chwilę potem trójka Turków została otoczona przez gromadę agresywnych młodych ludzi, uzbrojonych w butelki po piwie z wyszczerbionymi, utraconymi szybkami.

Podobnie jak wielu zachodniemieckich „gastarbeiterów” Avci zaopatrzył się wcześniej na wszelki wypadek w aparat rozpylający gaz łzawiący i gdy po otrzymaniu ciosu w łopatkę poczuł się zagrożony, zrobił z niego użytek, co wprawdzie pozwoliło Turkom wymknąć się z okrzykami, ale wkrótce dopadła ich jeszcze liczniejsza gromada agresywnie zachowujących się skinheadów. Próbując przebiec na drugą stronę ulicy Avca, potrącony przez przejeżdżający pojazd, upadł na jezdnię ze złamaną nogą. Wówczas ponownie dopadł go skinheadzi i zaczęli się nad nim pastwić, zadając mu kilkadziesiąt ciosów i trutując butami. Po kilku godzinach młody Turk zmarł z odniesionych ran.

Był to jeden z głośniejszych przestępczych wyczynów skinheadów, skiegoanych przeciwko cudzoziemcom, głównie pochodzącym z krajów egzotycznych i wskutek tego łatwo rozpoznawalnych, najeźdźcy Turków i Pakistańczyków, ale nierzadko także Jugosłowian. Atakowani są również, zadający się z cudzoziemcami, Niemcy i Niemki. Tego rodzaju zdarze-

nia zanotowano m.in. w Duisburgu, Monachium (uchodzącym za twierdzę skinheadów, gdzie zaatakowali oni nawet obóz harcerski), we Frankfurcie, Flensburgu czy zachodnim Berlinie.

Skinheadzi działają na ogół silnymi liczebnie gromadami, których pojawienie się na ulicy, w publicznym lokalu czy na stadionie sportowym budzi strach i groźę i skłania spo-

kojnych obywateli do natychmiastowego oddalenia się z niebezpiecznego miejsca. W samym zachodnim Berlinie raporty milicyjne odnotowały już przeszło dwa tysiące incydentów wywołanych przez skinheadów. Ich brutalność scharakteryzował niedawno jeden z hamburskich robotników: „Możesz wyjść i jęczeć, możesz na kolanach zebrać o zmiłowanie, nic ci nie pomoże, jeśli chcą cię wykończyć”.

Rodowód i obyczaje skinheadów biorą początek z angielskich wielkomiejskich dzielnic nędzy, gdzie jak pisze hamburski tygodnik „Der Spiegel” na każdego pracującego przypada jeden bezrobotny Anglik i gdzie o pracę ubiegają się nadto Hindusi czy Pakistańczycy. Wielu młodych ludzi w zachodniej Europie zanim trafi do skinheadów przechodzi przez inne ruchy i organizacje młodzieżowej subkultury, znane pod nazwami hippisów, punków oraz jako mods, tees, psychos czy anarcho, ale tych najradzykalniejszych, spragnionych „czynu” przyciągają ostatecznie nacjonalistyczne i wielkoniemieckie hasła, głoszące, że „dobre jest poczucie się Niemcem, chcieć coś zrobić dla własnego kraju i zaprowadzić w nim porządek”.

Niemieccy — podobnie jak inni — skinheadzi, mają swoje pieśni i swoje rytuały, w ich hasłach spotyka się wezwania nacechowane swoistą ideologią (jak choćby: „zabić hippisów!”), a ich ciała gęsto pokrywa wyszukany nieraz tatuaż. Każda blizna wyniesiona z bójk z przeciwnikami przynosi im zaszczyt (podobnie, jak w dawnych niemieckich korporacjach studenckich). Nawigując chętnie do tradycji III Rzeszy czczą publicznie dzień 20 kwietnia, datę urodzin Adolfa Hitlera, używają emblematów jego partii, uznali za swój hitlerowski okrzyk „Sieg heil!”. Ich propaganda jest prosta i sprowadza się do kilku chwytliwych hasel: „Precz z cudzoziemcami! Porządek musi być! Praca wyzwala!” (to ostatnie hasło — „Arbeit macht frei!” służyło jako cyniczne powitanie więźniów, przybywających do hitlerowskich obozów koncentracyjnych).

Skinheadzi stanowią wszędzie naturalne zaplecze neofaszystowskiej zorganizowanej prawicy, zresztą we wszystkich krajach zachodniej Europy utrzymują oni jawne kontakty z neofaszystami, np. w RFN z nielegalnym „Frontem Akcji Narodowych Socjalistów”, którym przewodzą osławiony Michael Kühnen. Niezależnie od tego, że neofaszystki traktują bojówkarzy spod znaku skinheadów za „idiotów użytecznych do brudnej roboty”, m. in. stosowania fizycznej przemocy wobec sił demokratycznych (jak niedgdy partia hitlerowska traktowała bojówki SA) to nie należy bynajmniej lekceważyć demoralizującego wpływu tego ugrupowania na młode pokolenie. Toteż nie można się zgodzić z opinią niektórych sędziów i przedstawicieli policji, mających do czynienia ze sprawami dotyczącymi skinheadów, że są oni ludźmi wyzbytymi wszelkiej ideologii i działającymi jedynie z niskich pobudek przestępczych.

Tak czy inaczej, nawet dla liberalnej opinii zachodniemieckiej, reprezentowanej m. in. przez tygodnik „Der Spiegel”, nie ulega wątpliwości, że na młodzieżowej scenie politycznej Republiki Federalnej Niemiec, podobnie jak w innych krajach, skinheadzi reprezentują obóz skrajnej prawicy.

Opracował: J. K.

Skinheads — nienawidzą cudzoziemców



Wstuchując się w słowa modnej piosenki młodzieżowej, w wykonaniu zespołu „Kombi”:

„(...) Mówią: szmal określa byt, trzymaj tak,
Twarde łokcie pomagają ci i giętki kark (...)
Kto przegrany nie liczy się, odpada z gry (...)
(...) Stodkiego, miłego życia”.

Pojawia się tutaj problematyka, która wciąż wzbudza wiele sporów i dyskusji. Jest to sprawa realizowania siebie przez konsumpcję, swoistego „obrabiania w rzeczywistość”, zmierzania ku życiu urządzonemu, łatwemu, bogatemu, zorganizowanemu wokół rywalizacji i posiadania. Z taką koncepcją życia młodzież współczesna nie chce się zgodzić, jednak otoczenie coraz częściej podpowiada taką propozycję: aby zostać jeszcze raz — w dyskotekę świata, w ruletkę życia — o to, by być miłoś.

Jako pierwszy na ten problem wskazał francuski filozof i pisarz, wiodący przedstawiciel tw. egzystencjalizmu katolickiego, Gabriel-Honoré Marcel (1889—1973) w znanej pracy „Być i mieć” (*Etre et avoir*, 1935, tłum. pol. 1962), a za nim Erich Fromm (1900—1980) i Bogdan Suchodolski. Zauważyli oni wyraźną rozterkę wewnętrzną człowieka współczesnego w jego orientacjach życiowych. Jest to jakby ścieranie się dwóch kierunków — istnienia i posiadania, a więc konieczność wyboru pomiędzy „być” a „mieć”.

Niektórzy powiadają, że jest to „alternatywa wydumana”, ponieważ trudno jest „być” nie posiadając, a zarazem — jak słusznie zauważył Stanisław Siek w „Autopsychoterapii” (1985) — „człowiek współczesny ciągle poganiany, aby coraz więcej mieć, gromadzić, nabywać i znaczyć, powinien mieć jakąś przeciwwagę w tych nabywkach. Filozofia o orientacji stoicko-przeciwniczej stanowi taką przeciwwagę i uczy, że ważne jest przede wszystkim „być”, a dopiero później „mieć”. Filozofia ta pomaga zmniejszyć nasze pretensje wobec świata i ludzi oraz znosić niepowodzenia, frustracje i wyrzeczenia, które są udziałem każdego człowieka”.

Bogactwo to mądrość

Jednakże coraz częściej w życiu społecznym zaczyna być widoczna przewaga koncepcji „mieć” nad „być”. Ważniejsze jest to jak człowiek, dając dobrą, czy trafił „zarządzić się”, czy ma samochód, dach, kochankę, niż to, ku czemu zmierza w swoim istnieniu.

Orientacja „mieć”, o której wspominałem, jest o tyle niebezpieczna, że wywołuje bardzo często poczucie rywalizacyjno-instrumentalne do swiego człowieka. Inna osoba pojawia się wówczas w naszej świadomości, a może raczej w podświadomości, jako rywal w tej grze o lepsze „ustawienie”, jako przeciwnik, którego należy pokonać, a nawet zniszczyć, bądź jako ten, który pomaga nam zdobyć określenie miejsca w hierarchii społecznej. Wystarczy wówczas sprawną dionizjuszową przetrwać rywal, w biegu, bez wyczerpania i przedrzeć się przez tłum rywali, wytrzymać mimo bólu chwilę startu, mając w dotkach stopy rozpalone, i pięć się — po szczebelkach arabiny, z której nie ma odwrotu — w kolejce do kariery...

Kolejnym niebezpieczeństwem postawy posiadania, na którą wskazał Aleksander Wallis (1930—1984), jest również to, że „swiat rzeczy tymczasowych i okazjonalnych zaczyna dominować nad światem wartości trwałych”. Jakże często zapominamy, że przedmioty mają taką wartość, jaką im się nadaje i wtedy, jak pisał Aleksander Dumas, „rzeczy siedzą w siodle i ujeżdżają człowieka”, a więc „to, co posiadamy, może nas zniszczyć”, a przecież już ponad sto lat temu ostrzegali nas amerykański poeta i filozof, Ralph Waldo Emerson (1803—1882), pisząc, że „przedmioty rządzą człowiekiem”.

Tworzy się swoista filozofia życia, wyrażona w powiedzeniu: „bogactwo to mądrość”, a zarazem w szeregu stosunków społecznych wytworzą się nastawienie typu „handlowego”, które najkrócej można wyrazić w zdaniu „nie, bez to zamian”. Oczekujemy wówczas wzajemności za świadczone usługi, dokonujemy wymiany dóbr materialnych i niematerialnych — uczuć, presliża, informacji, kształtując coraz częściej spójny w tym wszystkim światcie typ osobowości „wymiennej”, jak określa go Zbigniew Zaborowski. Patrzymy wtedy na innych w kategoriach zysku, czy optacja się nawiązywać kontakty z drugim człowiekiem. Jak w tej piosence zespołu „Kombi”:

„(...) Nie ma zysku,
Bo ci się nie opta,
Nie ma zysku,
Nie dla ciebie taka gra (...).”

Pójdźmy dalej — miłość, przyjaźń, altruizm, stają się swoistym towarem. I młodzi z takim punktem widzenia nie chcą się zgodzić, i mają chyba rację.

Szczególnie w naszym kraju lat osiemdziesiątych wybór właściwej orientacji życiowej przez młodego człowieka jest zadaniem nader trudnym. Po pierwsze — nie za bardzo jest w czym wybierać, a po drugie pobrzmiewają jeszcze echem przelotu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wizje „drugiej Polski” i „drugiej Japonii”, z samochodem, telewizorem kolorowym i domem jednorodzinnym dla każdego rodzinnego. Lata osiemdziesiąte przyniosły dramatyczne pęknięcie w wyborze dróg życia, które pozwałyby realizować pewne nieprzemijające wartości, zapewnić godną, ludzką egzystencję, a przy tym aby czyniły człowieka szczęśliwym.

Zaczyna w tym miejscu znamieny dialog napisany z powieści Adama Wiśniewskiego-Snergę „Według lotra” (1978):

„Jeżeli jesteś taki mądry, to dlaczego nie jesteś bogaty?”
„A ty — jeśli jesteś taki bogaty, to czemu nie jesteś szczęśliwy?”

Dotykając tutaj sprawy bardzo delikatnej i nieuchwytniej, szczęścia człowieka w relacji do jego stylu czy orientacji życiowej. Nikt nie może otrzymać od rodziców, nauczycieli i wychowawców, czy od społeczeństwa szczęścia w „gotowej postaci”. Człowiekowi można podarować wszystko: przedmioty, pieniądze, miłość, stanowisko, władzę, a nawet życie — tylko szczęścia nie można ofiarować mu w darze, gdyż musi on je zdobyć wyłącznie własnymi siłami. Jest to najbardziej osobista sprawa każdego człowieka, za którą tylko on jest odpowiedzialny; powiedzielibyśmy: byłby szczęśliwym — to moralna powinność jednostki.

Od czego to zależy? Moim zdaniem, przede wszystkim od wyboru właściwej orientacji życiowej. Człowiek, jako istota myśląca, nie może wypełniać celów swego życia w sposób metafizyczny, poza nurtem namysłu nad własnym życiem, w tym również refleksji moralnej. Bo w końcu „szczęście — jak trafnie zauważył G. Langguth w pracy „Samodzielność” (1983) — to nie brak pieniędzy, lecz radość „jugendlistacji”.

Zastanówmy się przez chwilę, czy — w tym zgiełku świata — mamy czas i ochotę, by przeprowadzić spokojne rozważanie nad samym sobą, rozumiejąc to jako wezwanie do realizacji i pogłębienia siebie? Czy nasze serca są „gościnne”, otwarte dla wszystkich, a przynajmniej dla samego siebie? Czy poprzez wybór określonej orientacji życiowej nie unieszczęśliwiamy innych i siebie?

ADAM A. ZYCH

NR 36 (1484), XXIX, 6 WRZEŚNIA 1986 R.

1

Człowiek, jego schab i reforma

Autobus nie był zatłoczony, ale wolnych miejsc już nie było. Kilku pasażerów, wysiadających na kolejnym przystanku musiała więc stać. Jeden z nich, niestety, upodobał sobie mnie. Nie wiem doprawdy dlaczego, widocznie wyglądałam na osobę szczególnie uprzejmą. Stał więc ów człowiek (a właściwie w Człowiek, z dużej litery) tuż obok mnie, potężne brzoźsko na plecach mi zwał, róg kanciastej torby w zębra wcisnął, posypywał ciężko zaczął i ocierał spoczone czoło — a wszystko po to, aby zademonstrować swoje znaczenie i chęć zamiany pozycji stojącej na siedzącej. Dla ścisłości — siedząca na moim miejscu.

Nie jestem jeszcze w wieku skłaniającym młode osoby do ustępowania mi miejsca, ale i z lat, w których sama ustępowałam niemal wszystkim — bo każdy powyżej trzydziestki wydawał mi się grzybiąłem starcem — dawno wyrosłam. Siedziałam więc dalej spokojnie i miałam zamiar wytrwać w tym stanie aż do końca mojej podróży. Stojąca nade mną — a właściwie nasażerka mi na plecach — pasażerka (był to bowiem człowiek płci żeńskiej, na oko starszy ode mnie o lat około 15, w rzeczywistości zapewne nie więcej niż pięć) rozpoczęła monolog — brzmiały mniej więcej tak: stół starszy Człowiek, a inni sobie siedzą, udają że nie widzą, zmęczony Człowiek, do pracy jedzie, ale co tam takiej, chory Człowiek, ledwie stoi, a tu wszędzie znieczulica... I trwała monotonna, cichym głosem, niby to do siebie samej kierowana przemowa, popierana coraz silniejszym naciskiem koszyka na moje zębra. Wreszcie nie wytrzymałam. Postanowiłam wyrazić swoje współczucie. Rzeczywiście — stwierdziłam — ktoś powinien pani ustąpić. Widać przecież, że pani ciężko. Każdemu byłoby ciężko, gdyby na niego dodatkowo trzydzieści kilo sionki wrzucić...

Co się potem działo — łatwo sobie wyobrazić. Na szczęście wkrótce potem wysiadłam.

Raczej rozbawiona niż zirytowana zdarzeniem dotarłam do pracy, gdzie właśnie moja koleżanka, osoba raczej szczupła, narzekała, że w nic już się nie mieści, w związku z tym znowu musi się odchudzać i oto właśnie nie pójdzie już na torcik, a najlepiej, żeby ją kto w domu na tydzień o suchym chlebie zamknął. Temat podjęłam z zapałem — bowiem rozmowy zaczynające się od stwierdzenia „popatrz, jak przytyłam” lubią prowadzić wszystkie (albo prawie wszystkie) kobiety, bez względu na to, czy powinny schudnąć o dwa kilogramy czy też o dwadzieścia dwa, a nawet i takie, którym przydałoby się trochę utyć.

Wszystkim paniom zależy na tym, aby wyglądać ładnie i nie straszć od własnej metryki — czemu to tusza zdecydowanie przeszkadza, większość tak że zdaje sobie sprawę, że otyłość to nie tylko problem estetyczny — lecz także medyczny.

Z wiedzy tej zresztą czynią niekiedy dziwny użytek. Niektóre — jeśli zdarzy im się przytyć np. na skutek paru tygodni leżenia z nogą w gipsie i opychania się „na polechce” ciastkami — natychmiast gdy odzyskają sprawnieść, energicznie się gimnastykują albo przez następne parę tygodni odżywiają wyłącznie sałatą i chudym mlekiem, inne — do tej grupy zaliczają się przede wszystkim kobiety z dużą nadwagą — usprawiedliwiają swoje permanentne obżarstwo jakąś dziwną, nie rozpoznaną przez lekarza chorobą.

— To na pewno zia przemiana materii — mówią — przecież ja ciągle chodzę głodna, jest po prostu jak płaszcik. I to jest prawda. — choć na ogół słuchający takich narzekań u-

śmiechają się kpiąco. Przecież taka np. sikorka zjada dziennie więcej niż sama waży!

Zamiast więc siebie usprawiedliwiać w tajemniczej chorobie (otyłość będąca wynikiem jakiegoś schorzenia zdarza się, jak twierdzą lekarze, nie więcej niż w 5 przypadkach na stu grubasów) trzeba po prostu zastosować odpowiednią dietę, a po doprowadzeniu sylwetki do właściwych rozmiarów nigdy już nie wrócić do zżubnego nalogu opychania się czym popadnie, byle dużo.

Radzić łatwo — gorzej wykonać. Jako gorąca wielbicielek tortu węgierskiego i napoleonek z własnej praktyki wiem na jakie tortury narażone są odchudzające się kobiety. A pomoć nam nie ma kto. Proponuję więc, aby i w tej dziedzinie wykorzystano... reformę gospodarczą, a zwłaszcza ten jej czynnik, który określa się jako bodźce ekonomiczne.

Samo uświadomienie i wylizanie, że dzięki jadeniu i wylizaniu porcji zostanie więcej pieniędzy na kosmetyki, nie będzie oczywiście zbyt skuteczne. Ale jeśli zastosować środki bardziej radykalne — skutek mrowy. Trzeba więc wprowadzić dla wszystkich pań (pamiętaj zresztą także, których obwód w biodrach przekracza 110 cm) obowiązek podwójnej opłaty za przejazd autobusem i pociągiem. Podnieść o 100 procenty na odzież i większych rozmiarach — bez względu na koszt jej produkcji. Obciążyć podatkiem „od kilogramów” — a uzyskane w ten sposób fundusze przeznaczyć na jakies pozytywne cele itp.

Z pewnością pierwszy etap takiej reformy spowodowałby falę protestów. Ale tak zwykły bywa z każdą reformą. Za to już wkrótce — ten, który by ją podjął, cieszyłby się dogłębnie wdzięcznością milionów kobiet, ich mężów i narzeczonych.

Nie bardzo jednak wierzę, że znajdzie się ktoś aż tak odważny, aby podjąć takie decyzje. Warto więc już teraz zacząć od serca stwierdzenie Barbary Hoff, „człowiek nie jest kowalem własnego losu — ale jest kowalem własnego brzucha”.

AGATA

2

Sport

Tour de Belchatów

Jest piątek, normalny dzień roboczy. Ciasnymi uliczkami Belchatowa, wśród niezdolnych obywateli, rozkopów, dźwun wleka się sznury ogromnych ciężarów, setki autokarów dowożących i odwożących kilkanaście tysięcy pracowników paliwowo-energetycznego kombinatu. Wszystkie szlaki komunikacyjne kompletnie zatkane, ryk silników, tłok, pisk szczerze używanych hamulców. Przejście na drugą stronę przelotowej arterii jest wyczynem kaskaderskim.

Jest piątek, regularny dzień targowy. Szosami ku miastu płynię morze kapuchy, ziemniaków, szczyptorku i pierzastych stworzeń skazanych na rosół. Suną załadowane chłopskie furmanki i dumne ursusy. W Belchatowie jest to wzięcia wielka farsa, a społecznie niony handel nie dorósł jeszcze do ekonomicznego myślenia.

Jest piątek, koniec sierpnia. Jak raz przez skotłowane miasto wędzie szlak człowiekowskich pielgrzymek. Maszerują zwarte kolumny wiernych, za nimi ciągną tabory. Na chodnikach gromadzą się tłumy obserwatorów, donośnie biją kościelne dzwony.

Tego dnia nie ma chyba w kraju bardziej zatłoczonego miasta, bardziej zatrutego spalinami powietrza, większego zbiegu łatwych wszakże do

przewidzenia okoliczności, raczej nie sprzyjających czemuśkolwiek jeszcze. No bo czego jeszcze może brakować w takim piekło? Brakuje oczywiście... wysięku kolarskiego.

W piątek, 22 sierpnia 1986 r. na podbelchatowskich drogach oraz w samym mieście, gdzie usytuowano metę, odbył się wysięg kolarski w ramach Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży.

Niewątpliwie tej widowiskowej imprezy może czuć się każdy, kto w całości dojechał do linii końcowej, albowiem udowodnił niebicie, że jest posiadaczem konskiego zdrowia oraz olimpijskiego spokoju, dzięki któremu tylko nie przywalił pompką w główki radosnych pomysłodawców. Co prawda kilku mięczaków do mety nie dojechało, bo albo rozkwasił się na szybach ciężarówek, uległ zaccadzeniu dymkiem z wydechowych rur, albo utknął w ogłupiałym tłumie pieszch i zmotoryzowanych. Pecz poza tym było fajnie i na sportowo.

Zapewne organizatorom wysięgu w tym mądre pomysłami miejscu i czasie przyswiecali szlachetne bardzo cele, prawdopodobnie natury kondycyjnej, gdyż doszło do zamierzonej selekcji naturalnej, co mniej sprawnych fizycznie i psychicznie małoletnich kolarzy. Przy okazji gonitwa szlakiem kopalni w budowie sprawiła kupę uciechy miłośnikom sportu, którzy mogli ją obserwować z kierownic wywrotek albo wcale, bo akurat tego dnia zachciało im się iść do roboty.

Belchatów odebrał ten cyrk z właściwą sobie obojętnością, gdyż nie takie rzeczy tutaj widziały, zaś nieletni cykliści nauczyli się wreszcie jak finiszować między dyszlem furmanki z workami cementu, dzięki czemu Olaf Ludwig już nie poszaleje sobie na etapach Wysięgu Pokoju. Dużym sukcesem zakończyła się także misja krzewienia kultury fizycznej wśród miejscowej społeczności, czego dowodem niech będzie udział aż jedenastu widzów w ceremonii nagradzania triumfatorów wysięgu, uświetnionej występem pierwszorzędnej kapeli podwórkowej spiewającej w ramach krzewienia kultury w ogóle o tym, co mniej więcej znajduje się pod spódnicą Marysi.

Z kół zazwyczaj dobrze poinformowanych dochodzą budujące wieści, jakoby belchatowski sukces sportowo-widowiskowy zrodził lawinę podobnie trafnych pomysłów organizatorskich w innych dyscyplinach również. Niebawem należy się więc spodziewać zawodów luźniczych na Marszałkowskiej, skoku o tyczce w pociągu relacji Przemysł — Szczecin oraz rzutu młotem na plaży w Mielnie podczas sezonu.

REZERWOWA II

3

Felieton
pe-
symistyczny

Dla drugiej zmiany...

Szanowny Panie Redaktorze!

W pierwszych słowach, tradycyjnie już, serdecznie pozdrawiam Pana i cały Zespół, dziękując równie serdecznie za paczkę z ciepłą odzieżą i arbuty. Tak na marginesie: te ostatnie musieliśmy niestety zjeść, bowiem w dochodzie za słodka. Nawet po dodaniu pestek kawy i porzeczek. Trudno, „lecimy” metodami tradycyjnymi...

Dziś dzień „telewizyjny”; od rana równo leje. ciśnienie zwalilo się na lew na szyć, więc paru kolegów od razu profilaktycznie wsunęło się w pasy, inni też, samodzielną, przechadzają się w kaftanikach a la Wolodyjowski.

Ech, jesień... I to żadna tam złota, polska. Jak na razie to słońca, dżdżysta, mokra, wietrzna. Nadrzę jak u tego kawalera — Dostojewskiego. Szczęściem najweselejsza na świecie telewizja krajowa nie szczędzi nam dowcipów, kawałów, pikantów rozmaitych ku poprawie nastrojów Rzeczypospolitej państwa.

Właśnie dziś piątek i właśnie pokładamy się do śmiechu na bułgarskim serialu dla drugiej zmiany pod wielce metaforycznym tytułem „List do redakcji”. On miał wypadek i nie żyje, ona sama wychowuje dziecko, a ludzie donosy piszą... Nie taka to znów komedia, ale nasze „telewizory” robia, co mogą i spokojnie puszczają po tygodniu drugi raz... ten sam odcinek!

— Ja nie mogę! O rany, za jedną ręką łyż ociarał, drugą za podskakujący ze śmiechu brzuch trzymał. — Ponad pół godziny już film leci, a tam nikt się nie zorientował, że dokładnie tydzień wcześniej oglądaliśmy to samo...

— Oj, będą się też duperelami przejmować — prezes Zenon aluzjnie głos zawiesił. — Widocznie jak dla drugiej zmiany, to trzeba dwa razy oglądać. O, a teraz przyjdzie ten co zbiera stare szmaty i ona mu garnitur po mężu sprzedaje...

— To nie jest zły pomysł — dorzuciła wciąż pięknie opalona siostra Halinka, a i ciepły sweterek wypołułaby co trzeba. — Oszczędności byłyby spore, a można by parę razy w tygodniu ten sam dzięknięć puszczać, albo przysyłać piękne listy z krokodylami. Niechby ten uroczy Dan występował w niedzielę, a potem, powtórną — we wtorek i czwartek na przykład, ech, piękny mężczyzna — siostra przełożona przeciwnie się całkiem wakuja.

— Oni tam tylko wszyscy za dużo piją — wtrącił niespodziewanie sanitariusz Józio, który po uspokojeniu kilku z pierwszego piętra zajął do nas dla relaksu. Nasze zapasy wyczerpał na odległość niczym wyżeł, a podkrążone niecie oka wskazywały, że też mu słona jesień doszła. — Za dużo piją — powtórzyl z uporem. — Co film to przewracają butelkę, drinki przyrządzają, ginem częstują, koniczki rozlewają, puszkami piwa strzelają. — brnął coraz bardziej nerwowo.

Na ekranie Bułgarka drzeć zaczęła pieniądze co je za ciuchy dostała (po raz drugi oczywiście...). Śmiech nam zamarił na ustach, bo o trunkowaniu godzinami można, ale dlaczego „na sucho”. Prezes Zenon z westchnieniem rezygnacji wyliczył z za pazuchy ciemną butelkę „Kijafy” i popatrzył pytająco po obecnych. Już czekaliśmy, Rozal! ciemnowisniewego płynu i zaczął...

— Nic mnie tak nie śmieszy jak te ogólnonarodowe opowieści antyalkoholowe. Każdy z nas mógłby przykładać rękę do działaniach wszelkich do wrecz odmiennych, ale ja skąd tylko zmierzających, ale ja skąd tylko jeden rzucał. Jak tylko ostatnio na zewnątrz to wybrałem się do rodziny, do Rudy Śląskiej. Jest tam taki pawilon spójzowy z dużym stoikiem monopolum. Kolejka była spora, więc czekając, z nudów rozdałem wódeczek liczyć począłem. Było ich dużo, uprzedzam, z likierami, nalewkami licząc. Kto zgadnie, ile było rozdanych trunków? No?

— Dwadzieścia pięć — huknął sanitariusz Józio.

— Eeee, to niemożliwe, powiedzmy dwadzieścia — zredukował go magister. Ja byłem raczej za Józkiem, ale milczałem.

— Zielonego pojęcia, widzę, o tym wiodącym przemysle nie miałem — triumfował Zenon. — Otóż ni mniej ni więcej tylko trzydzieści siedem rodzajów... A obok w ladzie chłodniczej co niczego nie chłodzi, dwa stare sery żółte, a półka z szyldelem „jogurt” pusta kompletnie, a i chlebek na wczorajzy wyglądał...

Tak, tak, stan naszego sympatycznego przeciw preza Zenona ostatnio uległ zdecydowanemu pogorszeniu. Wszystko przez tę buro-mokrą jesień, przemy jednak, że fachowcy z telewizji szykują jakąś niespodziankę dla trzeciej zmiany...

STEFAN ŻYCIOWY

ODGŁOSY 15

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(15)

„Używa pan okularów?” — spytał Vincent w hotelu, kiedy widać jechali do restauracji na górny taras. Towarzyszyła im Pat, oczywiście z kamerą w pogotowiu.

„Okularów?”

„No, na przykład do czytania”.
„Rzadko — Haslam nagie zmarszczył brwi. Wskazując palcem dotknął czoła i powiedział, że musi widać. — Zapomniałem zabrać ze sobą okulary, a pana interesują dokładne dane na temat tego trzęsienia ziemi. Spotkamy się w restauracji za pięć minut”.

Pat zatrzymała windę na najbliższym piętrze i z namiętnością patrzyła za idącym w kierunku schodów Haslamem, dopóki drzwi nie zasunęły się przed nią automatycznie.

„Zauważyłeś to?” — spytała Vincenta. — Ten jego wskazujący palec na czole i zmarszczone brwi. — Ona teraz także marszczyła brwi. — To mu dodało trochę powagi, trochę... autorytetu. Jeszcze nie wstydo stracone, Vince. Wyobrażam go sobie krążącego po pokoju, w okularach i z pochyloną głową, z długopisem albo z ołówkiem, którym wymachuje dla podkreślenia ważniejszych punktów wypowiedzi”.

Otto Haslam od razu chwycił, o co Pat chodzi. W okularach i z miną wielce uczoną, krążąc po hotelowym pokoju i wymachując ołówkiem dla podkreślenia ważniejszych punktów wypowiedzi — wyglądał befordzko, ale przynajmniej bardzo wiarygodnie.

„Przypuszczam — powiedział — że wczorajszy wstrząs był wstrząsem głównym. Wstrząsów następczych należy się spodziewać w każdej chwili”.

Ta sejsmologiczna prognoza, zadawała ją z punktu widzenia dobra reportażu, stanowiła zwięzłą odpowiedź na pytanie Vincenta. Na pytanie, które w takim wywiadzie paść musiało. No, złożyło się raczej szczęśliwie, że wywiadu tego Haslam nie udzielił komuś z dziennika tv, bo po jego emisji przestraszeni ludzie spakowali by manatki i wynieśli się stąd piorunem, grzebiąc ten odciniek definitywnie. Ewentualność ta istniała jednak nadal, więc żeby jej zapobiec, Vincent przystąpił do transakcji:

„Chcę panu coś zaproponować, doktorze Haslam. Ja i moi ludzie zostaniemy tu tak długo, aż te hocki-klocki nie ustaną całkowicie i na ten czas będę potrzebował konsultanta”.

„Co pan ma na myśli?”

„Mam na myśli sumę pięciu tysięcy dolarów płatną pod stołem”.

Otto Haslam miał na myśli mniej więcej to samo.
„Sądzę — odparł — że zwracając się z tym do mnie, uczynił pan trafny wybór. Mogę bez kłopotu wziąć kilka dni urlopu i jestem gotów służyć panu swoją wiedzą. Jednakże... cóż... nie od rzeczy byłoby sporządzenie jakiegoś pismennej umowy. Nawet nieformalnej”.

„Przygotuję ją na jutro rano — powiedział Vincent. — A teraz, skoro warunki zostały już omówione, może wrócimy do tego trzęsienia ziemi. — Dal znak Pat. — Na czym opiera pan swoje przypuszczenia, doktorze?”

Zupełnie jakby nie było tej przerwy w wywiadzie, jakby właśnie nie zarobił pięciu tysięcy dolarów, Haslam odpowiedział spokojnie i rzeczowo: „Na obliczeniach dokonanych przez nasze stacje geodezyjne. Skorupa ziemna, szczególnie w strefach mobilnych, podlega ciągłym i różnorodnym ciśnieniom, co prowadzi do jej pelzania, pęknięć, przesunięć, wypiętrzeń. Te procesy orogeniczne poprzedzane są powstającymi w materiale skalnym naprężeniami, których pomiar jest jedną z szeregu metod stosowanych przy prognozowaniu trzęsień ziemi. Świadomie użyłem tu sformułowania „jedną z szeregu” ponieważ metod tych, uzupełnia-

jących się wzajemnie, mamy wiele. Opierają się one głównie na wykrywaniu i rozpoznawaniu deformacji terenu oraz na analizie zmian przewodności elektrycznej skał, niektórych parametrów ziemskiego pola magnetycznego, koncentracji radonu w wodach gruntowych, ciśnienia cieczy w szczelinach i porach skalnych i tak dalej. Oczywiście przy stosowaniu tych metod wymagana jest dokładna znajomość historii sejsmicznej danego regionu i jego struktury tektonicznej...”

„Chwileczkę! — przerwał mu Vincent kategorycznie. — Pan nie jest na kongresie naukowym, doktorze Haslam. Na rany Boga, proszę pamiętać, że mówi pan do gospodyni domowej, do mechanika samochodowego, do dziewczyny rozdającej klientom prospekty w supermarkecie, do chłopaka, który wymieni panu wyniki wszystkich rozgrywek baseballowych w tym sezonie, ale ani jednej daty historycznej, do sklepiarza, do policjanta, do kolportera, do mnie, do Pat, do... Uff! Pat, kręcimy dalej. — I tym samym co poprzednio tonem podjął swobodnie, okazując umiarkowane zainteresowanie. — Doktorze Haslam, jak by pan scharakteryzował wczorajsze trzęsienie ziemi?... Nie, do groma. Przecież ten odciniek pójdzie na antenę dopiero w przyszłym miesiącu. Kręcimy to na nowo. — Zbliżył się do stolika i bezceremonialnie nalał sobie do szklancek whisky z hotelowych „apaszów” Haslama. Przepłukał nią usta, wrócił na środek pokoju i kiwnął głową w stronę kamery. — Kręcimy to na nowo, Pat — powtórzył. — Doktorze Haslam, jak by pan scharakteryzował trzęsienie ziemi w Nevadzie?”

„Zbyt skąpa ilość danych, którymi na razie dysponujemy, nie pozwala jeszcze na dokonanie pełnej oceny tego zjawiska. Ale już teraz można powiedzieć, że trzęsienie to należało do trzęsień płytkich. Jego hipocentrum, czyli ognisko, położone było na głębokości jakichś dziesięciu-dwunastu mil, a główny wstrząs miał magnitudę 7,5 może nawet 8”.

„Dużo to czy mało?”

„Dużo. Dla trzęsień płytkich to dużo, jeśli zważyć wywołane nimi skutki, bardzo niebezpieczne. W takich przypadkach mamy najczęściej do czynienia ze wstrząsami pustoszącymi, na szczęście występują one na obszarze o powierzchni stosunkowo niewielkiej. Inaczej przedstawia się sprawa trzęsień głębokich, jak to było na przykład w 1959 roku, kiedy wstrząsy objęły swoim zasięgiem Nevadę, Utah, Idaho, Wyoming, Montanę i południową część Kanady, przy czym nie wyrządziły żadnych poważniejszych szkód materialnych, chociaż wyzwoliło się wtedy wcale nie mniej energii niż podczas trzęsienia obecnego, czyli około dziesięciu do szesnastej dziesiątej”.

„Postępuje się pan jednostkami, które nie dla wszystkich widzów mogą być zrozumiałe”.

„Spróbuję to wyjaśnić. Pracę jednego dżula wykonamy wtedy, kiedy masę jednego kilograma przesuniemy na odległość jednego metra, nadając jej przyspieszenie równe iloczynowi jednego metra i sekundy do potęgi minus drugiej”.

„Doktorze Haslam... Mówimy o energii wyzwolonej podczas trzęsienia ziemi. Czy mogliby pan opowiedzieć nam o tym... prosto i jasno? Może w sposób bardziej plastyczny, przy użyciu jakichś porównań?”

Zatoczywszy posuwistym krokiem półkole Pat przystąpiła przed Haslamem i wykadrowała jego twarz, jakby miał on w tym momencie proroczym głosem zdefiniować nowy dogmat wiary. Vincent odszedł na bok, by zrobić jej miejsce, i gładząc palcami wąsy czekał z nadzieją, że ten gogusowaty belfer przemówi wreszcie ludzkim językiem. Znany sejs-

mologiem niech on sobie będzie, dogłębne specjalistyczne wiadomości niech on sobie ma, nie oznacza to jednak, że wolno mu torturować, ploszyć i odstraszać widzów, którzy oglądając programy z cyklu „Kataklizm miesiąca” spodziewają się wprawdzie obcować z grozą klęsk żywiołowych, ale nie z grozą reguł fizycznych i to recytowanych przez kogoś, kto wygląda jak meska prostytutka.

„Sądzę — powiedział Haslam — że energia ta była równoważna energii tysiąca nominalnych bomb atomowych...”

Vincent uśmiechnął się z aprobatą. To już lepiej. Takie porównania zawsze robią wrażenie, pobudzając wyobraźnię. Bomba atomowa to coś konkretnego; skutki jej działania przerażają nas i fascynują, mimo że pod względem praktycznym poznaliśmy je tylko powierzchownie, w stopniu do- kuczliwie niewystarczającym, bo żaden z nauceznych świadków nie zdążył zdać nam o nich pełnej i obiektywnej relacji. A przy tym doktor ek wy- kazał spore wyczucie: określe- niem „nominalnych” zastąpił określenie „Thin Man” mogące wywołać niepożądane skojarze- nia z Hiroszimą i utrwalił kompleks winy w clikowych du- szyczkach pewnej grupy oby- wateł amerykańskich.

„...albo energii jednego „Eliasa” — dokończył Haslam.

Najzupełniej prywatnie, przy- mując, że wytnie pytanie Vincent zagadnął: „Tego proroka czarnucha?”

„To nazwa głowicy termojądrowej — sprostował Haslam. — Taką nazwę wojskowi nada- li bombom o mocy od dzie- sięciu do dwudziestu mega- ton”.

Tak, to trzeba będzie wyciąć. Zająłoby dużo trzeba będzie wyciąć — połowę akademickich mantyczeń doktora, pytania zadawane mu po to, żeby go ukierunkować i własne wtręty robione w tym samym celu.

„Powiedział pan, że w każdej chwili należy się spodziewać dalszych wstrząsów...”

„Nie zawsze potrafimy przewidywać dokładny czas wystąpienia replik, czyli wstrząsów następczych. Ogólnych wskazo- wek udzielają nam procesy fi-

zyczne zachodzące w obrębie ogniska trzęsienia ziemi: szybkość i zakres cofania się związanych z tymi procesami anomalii, które poprzedzają wstrząs główny. Wiemy jednak, że znamienne dla stref mobilnych tego regionu jest występowanie replik trwających nieraz przez kilka dni”.

Ten fragment wywiadu (nadany w miesiąc po wydarzeniach przedstawionych w rep- ortażu) odda obecną atmosferę zagrożenia i niepewności.

„Czy mogliby pan określić... w przybliżeniu... ich siłę?” — spytał Vincent.

A Haslam — z zadaniem do obietnicy, jak rzecznik prasowy świętego Mikołaja — od- powiedział:

„To raczej trudne. Pewne jest tylko, że będzie ona malejąca, chociaż w początkowej fazie może dorównywać sile wstrząsów głównych”.

No i pewnie być miało, że one, te repliki, w ogóle wystąpią. I co? Mnie już cztery dni od trzęsienia ziemi i nic. Ani jednego bodaj marnego drgnięcia — jakby wyczerpani pierwszym wysiłkiem Bóg zapadł w relaksującą drzemkę.

Coraz bardziej ramolę staruszek — myślał teraz Vincent Sherwood obchodząc swoje filmowe obozowisko położone na wznesieniu, nad dzielnicą Belgravia, której mieszkańcy usuwali ślady zniszczeń, by wkrótce przystąpić do jej odbudowy. Odbudowy bezwartościowej jako materiał do programu „Kataklizm miesiąca”.

— A jeszcze sześć tysięcy lat temu — myślał dalej — w ciągu czterech dni stworzył „trawę dającą nasienie według swego gatunku i drzewa rodzące owoce, w których było nasienie według ich gatunków”.

„wielkie potwory morskie i wszelkiego rodzaju pływające istoty żywe, którymi zaroili się wody, oraz wszelkie ptactwo skrzydlate różnego rodzaju”, „różne rodzaje dzikich zwierząt, bydła i wszelkich zwierząt naziemnych” i „człowieka na swój obraz”. Dzisiaj nie potrafi wywołać solidnych wstrząsów i przeprowadzić sprawy rzetelnie do końca nawet na „obszarze epitektoralnym o powierzchni około siedmiu tysięcy mil kwadratowych”. — Potem myśli

Vincenta potoczyły się od zagadnienia rosnącej niemości boskiej ku zagadnieniu rosnącej mocy ludzkiej, o której wzmiankuje jedna z egzegez zawartych w „Ewangeliarzu” Biblijnym językiem Elias do- wodzi w niej, że to, co Bóg stworzył właśnie w ciągu tych czterech dni, w ciągu czterech dni współcześni ludzie władni są zniweczyć skrupulatnie i ze szczerem. Przetoczywszy się o bok fiordów tej egzegezy, po odbiciu od jej stromych, skalistych brzegów myśli Vincenta meandrem popłynęły na południe, przez pustynię Nevada, aż dotarły do miejsca zwanego „Mesa Rainer”, gdzie woj- skowi w miarę potrzeb dokonują doświadczalnych wybuchów jądrowych — w ścisłej tajemnicy. Ciało Vincenta natomiast dotarło w tym czasie do reżyserskiej ciężarówki, skąd dotatywały strzępy relacji kom- mentatora programu „W obliczu inwazji kosmitów”. I nabrzmiały godowo chichot Pat Partanen.

— Sep! — zawołał Vincent z dworu. — Połącz mnie z naszym doktorem Haslamem.

Po czym wszedł do tej ciężarówki zaobserwowany tak, że nie zastanowił go nawet widok Pat szarpiącej za suwak ekrana przy rozpiętych dżinsach, ani widok Sepsy usiłującego wykonać dwie czynności jednocześnie: wybrać numer telefonu Haslama i wepchnąć koszulę do spodni. Niecierpliwie odebrał mu słuchawkę i odwrócił się tyłem do telewizora, by nie patrzeć na zdefasonowany autobus, który sieć ABC sprzedawała jako statek kosmiczny Obcych. Kit, kalafonia, śliwkowe powidła i woń kadzidła — ten program „W obliczu inwazji kosmitów”. Ale czy tego nie można powiedzieć także o jego programie? „Vincent Sherwood zaprasza na kataklizm miesiąca”. Rzeczywiście! Vincent Sherwood zaprasza na swój program, który będzie największym kataklizmem w dziejach telewizji. Przynajmniej odciniek obecny. (Poprzedni, w mordzie, był preludium do tego kataklizmu).

— Pan Haslam? Otto? — zapytał Vincent głosem w słuchawce. — Tu Vince. Chyba słyszałeś o tym poligonie wojskowym „Mesa Rainer”. Leży jakieś dwieście mil stąd. Co twój wiedza na to, gdyby tam dokonano wybuchu atomowego? Czy mogłoby to wywołać skutki w postaci... wstrząsów skorupy ziemskiej... na tyle silnych, żeby...
— A mają go dokonać? — objawił Haslam chłodne zacie- kawienie.

— No, chciałbym tylko wiedzieć, jak by to wyglądało od strony teoretycznej...
— Musi ci bardzo zależeć na tym reportażu, Vince, prawda? Żartowniś dymany. Powinno mu się płacić od ilości zburzonych budynków.

— Od strony teoretycznej, Otto... gdyby ten wybuch nastąpił głęboko pod ziemią, a ładunek miał moc trzystu do pięciuset kiloton.

— Podziemny wybuch takiego ładunku może wywołać lokalne wstrząsy sejsmiczne o magnitudzie przekraczającej 5.
— Tak, ale chodzi mi przede wszystkim o to, czy jest nadzieja, że rozrusza on trochę naszą starą matkę Ziemię. To znaczy, czy byłby w stanie zainicjować... przyspieszyć nadejście tych replik, na które czekamy ty z taką obawą.

Z obawą, że nie nadejdą — dodał w duchu.

— Nikt tego nie wie — odrzekł Haslam. — Nie znamy układu sił tektonicznych. Czasem wystarczy, że mrówka tupnie nogą...
Konsultant, jechał go sek! — Vincent już otwierał usta by zakończyć tę rozmowę opryskliwą formułką sądową: „Nie mam więcej pytań”, ale ostatecznie wydukał zdawkowe podziękowanie i odłożył słuchawkę, bo jakiś nowy ton w głosie telewizyjnego komentatora zajął jego uwagę.

— Co on powiedział? — zwrócił się do Sepsy.

— Kto? — spytał Sep. Myśli, w przeciwieństwie do koszuli, jeszcze nie doprowadził do porządku.

— Ten dziubas — Vincent wskazał telewizor. — Czego to dotyczyło: „Jutro zawita do nas znamienity gość”?

— Och, to. Podobno Elias przenosi się z Griffin do Miami na Florydzie, w pobliżu „Trójkąta”.

— Ach, tak.

Proszę, cóż za niespodzianka! Więc spragniony rozgłosu i spletrany spadkiem popularności własnej osoby Elias podejmuje wyprawę prawie krzyżową przeciwko Obcym, a spragniona rozgłosu i spletrana spadkiem popularności własnych programów sieć ABC zamierza włączyć tego proroka do swojej inwazyjno-kosmicznej rewii? To jest zapowiedź odwrotu, pakowanie dupy w troki, rozpaczliwy wysiłek, żeby słabnące zainteresowanie widzów rozbudzić ponownie i zestrodkować na nowym temacie. Widocznie ktoś ze szczytu koncernu spostrzegł wreszcie, że notowania florydzkich kosmitów nieuchronnie zmierzają do zera i postanowił zlikwidować ten program — z fasonem i wdziękiem, pomysłowo spikując go innowacjami. Jutro wystąpi w nim Elias, pojutrze nadadzą go pod hasłem: „Nawet jeśli nie był to kosmit, pokażemy wam, jak działa atomowy parasol ochronny na wypadek inwazji!”, a za dwa dni będzie to już „Synulowana wojna w kosmosie. Część pierwsza. Zniszczenie wojskowego satelity Sovietów”. Co by o nich nie mówić, ci dranie wiedzą, kiedy się wycofać i w razie kłapy umieją to zrobić w samą porę, dopóki straty dają się zbilansować z zyskami. No — myślał Vincent — ale czy ja nie mogę powiedzieć tego o sobie? Nie, nie mogę. Nie mogę, bo tkwię tu jak frajer skończony, razem z tym całym sprzętem niewiarygodnie kosztownym w eksploatacji, czekając na miłosierdzie pańskie, podczas gdy sterany Bóg znów się zdrzemnął i ani mu w głowie robota. Zaraz, o czym to było w tej egzegezie? Że to, co Bóg stworzył w ciągu czterech dni, człowiek. Hej, ten Elias wcale nie jest taki głupi!

— Sep — powiedział Vincent raźnie i przywrócił mi tutaj najlepszego fachowca od efektów specjalnych i prototechnicznych, jaki jest do zdobycia w tym kraju.

— Sep — powiedział Vincent raźnie i przywrócił mi tutaj najlepszego fachowca od efektów specjalnych i prototechnicznych, jaki jest do zdobycia w tym kraju.

— Sep — powiedział Vincent raźnie i przywrócił mi tutaj najlepszego fachowca od efektów specjalnych i prototechnicznych, jaki jest do zdobycia w tym kraju.

— Sep — powiedział Vincent raźnie i przywrócił mi tutaj najlepszego fachowca od efektów specjalnych i prototechnicznych, jaki jest do zdobycia w tym kraju.

— Sep — powiedział Vincent raźnie i przywrócił mi tutaj najlepszego fachowca od efektów specjalnych i prototechnicznych, jaki jest do zdobycia w tym kraju.

— Sep — powiedział Vincent raźnie i przywrócił mi tutaj najlepszego fachowca od efektów specjalnych i prototechnicznych, jaki jest do zdobycia w tym kraju.

Z „EWANGELIARZA ELIASA”

Do szesnastej sekundy po godzinie „G”.



50 kilometrów od punktu „0”. Ten, który Ją Stworzył był cały tym jaskrawym światłem, był także tchnieniem żaru Florence z kwikiem dreptała w kółko po parującej trawie, przed chwilą soczystozielonej, teraz szarawej i sparciałej, aż nagle popędziła beładnym słalodem przed siebie, upadła na jeden z masztów namiotu i przekoziłkowała z nim po ziemi, wlokąc za sobą linki z wyrwanymi śledziami. Zrzuconą budowlą harcerską pana Leitnera zapadła się z łopotem i skraj brezentowej plachty, gorącej jak podszewka surduta władcy piekieł, okrył ją ki Florence, która znów kwiknęła i popętała do przodu.

C.D.N.
Tytuł pochodzi od redakcji Tytuł autora „Stan zagrożenia”.



Rys. Janusz Szymański-Glanc